

Tony Daniel

Kandela

Na Ziemi wiek budynku liczy się w stuleciach. Przybywającym stamtąd wszystko na Kandelu wydaje się bardzo młode, więc dyskretnie śmieją się z naszego pojmowania słowa „zabytek”. Nawet ci z Ameryki Północnej, co zawsze mnie napawało zdumieniem. Kiedy studiowałem na Uniwersytecie Waszyngtona w St. Louis, miałem przyjaciela Niemca, Lukasa Meyera. Uważałem wówczas, że St. Louis ze swymi ceglanyimi domami i brukowanym nadbrzeżem jest starym miastem,. Lukas śmiał się ze mnie, tak jak turyści z Ziemi śmieją się z osadników. Powiedział mi, że jego rodzinny dom w Tubingen liczy sobie już ponad trzy wieki, a wcale nie jest uważany za skarb narodowy, zabytek, ani w ogóle coś szczególnego.

Kilka lat temu spotkałem faceta z St. Louis - chyba pracował dla Straży Przybrzeżnej - którego aż skręcało na widok historycznych miejsc w Jackson. Słynny Luk w St. Louis liczył już sześć wieków, a był najmłodszą z budowli uważanych za relikty przeszłości. Odbiłem piłeczkę mówiąc, że na własne oczy widziałem wmurowanie kamienia węgielnego pod kosmodrom Cahokia. A czy widziałem też zrzucenie bomby atomowej na Hiroszimę? - padło pytanie. Dla znakomitej większości Ziemiaków wszystko, co wydarzyło się ponad pięćdziesiąt lat temu, działo się jednocześnie.

Jednak osadnicy stanowili odrębną grupę, zarówno pod względem społecznym, jak i kulturowym. Pod każdym względem. Wszystko, nawet przenośny sracz, jaki pierwsza ekipa Westpaku ustawiła przy Źródłach Luftsona, nosiło plakietkę oznajmiającą wszem i wobec, ile znaczenia dla historii miały gówna twoich pradziadków. Nasza cywilizacja powstała z niczego - i dopiero za jakiś czas będziemy mogli się szczycić prawdziwą przeszłością. Albo czymś w tym rodzaju.

Jancy Calhoun mieszkała wraz z siostrami w „starym” drewnianym domu, ozdobionym obowiązkową plakietką. Budynek, zbudowany w klasycznym stylu, nosił nazwę „Frontier Revival” i przypominał domostwa osadników amerykańskich z czasów podboju dziewiętnastowiecznego Zachodu - choć ówczesni Amerykanie niewątpliwie nie posiadali kolonii bakterii wytwarzających drewno ani mikroskopijnych narzędzi ciesielskich. Z tego też powodu najstarsze domy na Kandelu były co prawda stylowe, ale wyglądały tak, jakby postawiono je dopiero wczoraj. Zamieszkiwali je ludzie oraz stada biotworów i małych robotów podążających za właścicielami z gotowością spełnienia wszelkich życzeń i usunięcia każdej nieczystości. Ci z nas, którzy przybyli już po podpisaniu traktatu z Indianami, ograniczającego tereny pod zabudowę, kosym okiem spoglądali na te luksusy. Ale pionierzy traktowali swe

domy jak enklawę ekologiczną chroniącą ginący gatunek. Niektórzy z nich naprawdę przypominali dinozaury - w dzisiejszych czasach ich poglądy trąciły anachronizmem.

Każdy z członków rodziny Calhoun też powinien nosić tabliczkę. Stara krew, pochodząca z pierwszego statku, jaki przybył na planetę, opromieniona sławnymi czynami. Tacy byli pierwsi Calhounowie - burmistrzowie Jackson, pełnomocnicy Westpaku, negocjatorzy. Teraz trzy siostry snuły się po wielkim domu, zadowolone z bogactwa i chwały, jaka stała się ich udziałem za sprawą ojców i dziadów. Jancy była wyjątkiem. Sama gromadziła oszczędności, zarabiając szyciem kołder.

- Idź do Jancy - powiedział Thomas, gdy zeszliśmy z Wzgórza Kanu. - Zostań z nią, póki nie wrócę.

- Co masz zamiar zrobić?

- Idę do Przeznaczenia, chcę zdobyć nieco rytmu.

- Od Indian?

- Nic, ale oni mi w tym pomogą.

- Tylko nie daj się zabić - mruknąłem. - W taki sposób nie pomożesz Jancy.

- Ktoś inny powinien obawiać się śmierci.

U stóp Wzgórza Thomas odszedł ścieżką prowadzącą ku Przeznaczeniu. Ponieważ ranek zapowiadał się pogodnie, mój ślizgacz stał spokojnie w garażu w Jackson, a na Wzgórze Kanu przyszedłem piechotą. Pięć mil. Przebiegiem odległość dzielącą mnie od miasta i skręciłem w stronę domu Calhounów, do którego miałem bliżej niż do biura.

Nienawidziłem tego budynku, bez względu na to, jak bardzo przypominał mi farmę z Missouri. Posiadał białe okapy i sześć nadbudówek. Komputer sterujący wewnątrz wszystkimi mikroskopijnymi gadżetami był obdarzony osobowością Georgii, najstarszej z sióstr Calhoun. Określenie, że nie cieszyła się moją sympatią, jest najłagodniejszym, jakie potrafię wymyśleć. Prawdę mówiąc, nienawidziliśmy się jak pies z kotem. Lecz aby zobaczyć Jancy, musiałem zacisnąć zęby i uzbroić się w cierpliwość.

- Will James. Chciałbym rozmawiać z Jancy - powiedziałem w stronę drzwi.

Jaskrawe, popołudniowe słońce padało pod zabójczym kątem na małą szybkę umieszczoną tuż przed moimi oczami. Nie było to przyjemne wrażenie. Dom nie uczynił nic, aby przyciemnić szkło, choć zezowałem ze złością.

- Jancy jest dziś niedysponowana, panie James - odparły drzwi delikatnym, przyciszonym głosem pielęgniarki uspokajającej hałaśliwego pacjenta. Przy każdym słowie szybka drżała i moje oczy co chwila raził ostry błysk światła. Czasami zapominałem, że algorytm tych domów nie przekracza poziomu inteligencji świnki morskiej - jest jedynie szkicem z

portretu osoby, którą naśladowe. Georgia Calhoun była jednak prawdziwą suką, skoro jej osobowość ujawniała się także w zachowaniu budynku.

- Mam do przekazania coś bardzo ważnego.

- Jej zdrowie i spokój są równie ważne.

- To, co chcę powiedzieć, dotyczy jej zdrowia - odparłem.

Odwróciłem głowę i osłoniłem oczy przed światłem bijącym z drzwi.

- Czego pan naprawdę od niej chce, panie James? - spytało okienko.

Suka. Nadopiekuńcza suka. Może inaczej rozmawiałbym z prawdziwą Georgią, ale szlag mnie trafił, gdy musiałem tłumaczyć się elektronicznemu półgłówkowi, obdarzonemu najpaskudniejszym charakterem, jaki został wprowadzony do oprogramowania historycznych kawałków drewna i stali.

- Powiedz Jancy, że tu jestem i to wystarczy - rzuciłem. - Poza tym, spróbuj używać do rozmów z gośćmi czegoś innego zamiast tej szybki. I zdejmij mi to światło z twarzy.

Jeśli jakikolwiek budynek zdolny jest wydać urażone fuknięcie, to ten właśnie uczynił coś podobnego, ale spełnił moje żądania. Prawdopodobnie wewnątrz nie było nikogo, kto zaprotestowałby przeciwko tym dość obcesowym poleceniom. Wpuszczono mnie z krótkim „Jancy przyjmie pana u siebie” i uznano sprawę, za zakończoną. Gdybym nie znalazł drogi do pokoju Jancy, mógłbym cały dzień błądzić po mrocznych pomieszczeniach, nie uzyskawszy znikąd pomocy.

Zanurzyłem się w ciemność salonu, wiedziony nikłym blaskiem padającym zza ciężkich kotar zasłaniających okna. Zahaczyłem nogą o wystającą część jakiegoś mebla. Jęknąłem z bólu, na co z boku dobiegło wystraszone westchnienie. Moje oczy przyzwyczyły się już do półmroku, więc dostrzegłem w kącie pokoju nieruchomą postać kobiety, która jedną dłonią zasłaniała usta, zaś w drugiej trzymała szklankę wypełnioną do połowy ciemnym płynem.

- Cześć, Wrenny - powiedziałem.

Wrenny Calhoun milczała. Nagle odwróciła się i wyszła przez boczne drzwi. Przeszedłem przez pokój i począłem wspinać się na schody. Siostry Calhoun były doprawdy dziwne. Nawet Jancy. Szczególnie Jancy.

„Niedysponowana” to było bardzo łagodne określenie jej stanu. Bez rytmu umysł Jancy ulegał fazowym zakłóceniom. Pomimo tego że Thomas przywoził jej najlepiej wygenerowany rytm, jaki mógł znaleźć - prawdopodobnie najlepszy na całym Terytorium - dawka nie wystarczała na cały okres nieobecności Wędrowca i Jancy powoli odchodziła. Nie była wariatką, nawet bez narkotyku. Była po prostu inna.

Gdy stanąłem w drzwiach jej pokoju, pracowała gorączkowo. Uniosła wzrok znad trzymanej w ręku kołdry i rzuciła mi szybkie spojrzenie.

- Will.

W pomieszczeniu było niewiele mebli. Jancy siedziała na stołku obok małego stolika. W rogu pokoju ustawiono okazały kufer. Dziewczyna ubrana była w wyblakłą, perkalową suknię, której kolory bardziej przypominały biel, niż cokolwiek innego, oraz miękkie, brązowe mokasyny - najpewniej podarunek od Thomasa. Kasztanowe włosy swobodnie opadały jej na ramiona. Wyglądała na całkowicie pochłoniętą swą pracą. Wiedziałem o haftowanych kołdrach mniej więcej tyle, ile ty o Ameryce dwudziestego pierwszego wieku, ale na pierwszy rzut oka potrafiłem określić ich jakość. Ta, nad którą pochylała się Jancy, była nic tylko piękna - ktoś w złym humorze mógłby w tej chwili zdecydowanie zaprotestować - ale także emanowała tajemniczą siłą, zaklętą w płataninie gwiazd, łuków i linii. Biła z niej pasja oraz... inteligencja, a cały wzór wywoływał u mnie niejasne skojarzenia. Kołdry Jancy sprzedawano na Ziemi w North Carolina Gallery. A także w Jackson, dwie przecznice stąd, w galerii tego cholernego Bently'ego.

Jancy spojrzała na mnie z zainteresowaniem, jakby dopiero przed chwilą zauważyła, że istnieje ktoś nazwiskiem Will James, z kim warto porozmawiać. Tak było zawsze. Miałem wrażenie, że Jancy co chwila odkrywa świat na nowo i nigdy nie potrafiłem przewidzieć jej reakcji.

- Dziś rano zobaczyłam skrawek czegoś - powiedziała - i próbuję to teraz odtworzyć.

Wskazała na niemal ukończoną kołdrę.

- Gryzie, ucieka, kąsa, szarpie, kona z głodu niczym młody pająk ukryty wewnątrz sieci.

Jancy zwykle zachowywała się w ten sposób.

Wzór na kołdrze drgnął, począł tworzyć czytelny obraz. Pochyliłem głowę i przesunąłem się za plecy Jancy, patrząc ponad jej ramieniem. Geometrię płaszczyzny burzył naszyty nieforemny kawałek brązowego materiału, otoczony pieczołowicie wypracowanym, skomplikowanym ściegiem. W pozornie bezsensownej płataninie linii wyłowilem ukryty sens. Wiedziałem już, na co patrzę.

- To szczur - powiedziałem. - Biegnący szczur.

- Tak. Tak. Chytry. Podstępny.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Rano. Dzisiaj. Gdy się obudziłam.

Spojrzała na mnie i wybuchnęła beztrioskim, prawdziwie dziewczęcym śmiechem. Od-
rzuciła na bok kołdrę, lecz wciąż była czymś zdenerwowana. Gdy przerwała pracę, nie bardzo
wiedziała, co zrobić z rękami. Zaciskała i prostowała palce, jakby miętoszyła powietrze. Na-
głym ruchem pochyliła się i przyglądała dół sukni.

- Kiedy powróci Thomas? - spytała. - Już czas.

Mocno ścisnęła drżące dłonie.

- Zjawił się dziś rano, ale...

- To dobrze. Georgia poczęła świecić tak jasno... Mocno i jasno, jak wypolerowany
mosiężny kandelabr. Było też trochę krwi. Małeńki strumyczek spływający w dół... czerwien
na mosiądzu.

- Znów była dla ciebie niedobra?

Jancy głośno przełknęła ślinę i poruszyła się niespokojnie, jakby w obawie przed dal-
szą rozmową.

- Myślę, że jest niezadowolona. Uważa, że plamię godność nazwiska Calhoun. Cho-
ciaż Wrenny także nie robi nic, aby usunąć krew z kandelabra...

Wrenny bardzo często zaglądała do szklaneczki z burbonem. Choć dzisiaj mignęła mi
jedynie w mroku salonu, widywałem ją uprzednio. Była alkoholiczką, lecz czasem potrafiła
zaskoczyć dowcipem i osobistym urokiem. Niezdolna do jakiegokolwiek działania, była
jednocześnie zniewalająco piękna, szczególnie w chwilach melancholii. Przypominała mi
Partenon - z zewnątrz pozornie nie naruszony i stabilny, za dumną fasadą skrywającą ruinę.
Jancy ponownie spojrzała na mnie - a raczej poprzez mnie, jakbym był zasłoną, za którą
błyszczało światło słońca. Westchnęła.

- Will, jesteś cały brudny i poturbowany. Wyglądasz jak jeden ze starych pistoletów
Dziadka. Co się stało? - w jej oczach dostrzegłem wzrastające przerażenie. - Co się stało z
Thomasem?

- Nic takiego - nic chciałem mówić więcej, pamiętając że dom słyszy każde słowo.
Jancy zauważyła moje wahanie.

- Chciałabym porozmawiać z Willem na osobności - powiedziała, nie spuszczać ze
mnie wzroku.

- Dobrze, panno Jancy - z głębi budynku dobiegł głęboki głos Georgii. Prawdopodob-
nie nośnikiem dźwięków była obluzowana klepka w podłodze.

- Napadnięto nas. Skradziono Thomasowi twój rytm.

- Szczur?

- Tak. Nie. Kilku ludzi z Jackson.

Jancy nadal na mnie patrzyła. Poczulem się nieswojo, gdyż wiedziałem, że potrafi dostrzec rzeczy niekoniecznie przeznaczone właśnie dla niej. Nic pytaj, jak to możliwe. Pamiętam dzień, gdy po raz pierwszy asystowałem przy przekazywaniu dziewczynie przemyconego rytmu. Thomas usiłował mi wiele wyjaśnić, lecz uczynił to w sposób typowy dla Wędrowców, którzy potrafią tak zagmatwać każdy problem, że zwykle żałujesz, że po prostu nie spytałeś o godzinę. Chociaż, gdy zastanowić się głębiej, pewnie i na to pytanie otrzymałbyś niejasną i powikłaną odpowiedź.

- Pamiętasz kruka z poematu Allana Poego? - miękko spytał Thomas.

Byliśmy w moim domu, w salonie. Zasłaniałem okna, a Jancy spała na zniszczonej kanapie. Obecny w formie błękitnych ogników Radź otaczał jej ciało, trzymając, jak twierdził Thomas, w stanie pozbawionego marzeń uśpienia. Radź potrafił współdziałać z Jancy podobnie jak rytm, może nawet lepiej. Tylko, że siedem lat temu nic było jeszcze możliwości wykonania takiej kopii *chocalaca*, która by mogła pozostać z dziewczyną na czas, gdy prawdziwy Radź podróżował z Thomasem.

- Kruka, który wciąż powtarzał „nevermore”? - spytałem, wpatrzony w śpiącą sylwetkę Jancy. Wyglądała prześlicznie z kaskadą kasztanowych włosów opadających na twarz.

- Tak. Dla Jancy, cały świat jest takim krukiem.

Thomas siedział na krześle obok kanapy, czekając aż rytm przebije się krętymi ścieżkami jego umysłu i wypłynie poprzez zakończenie nerwu ocznego.

- Masz na myśli to, o czym mówią kapitanowie gwiazdolotów? - zadałem kolejne pytanie. - Widzi i słyszy głos prawdziwego świata?

- Nie. Jancy jest inna niż wszyscy podróżnicy i Wędrowcy. Rzadko słyszymy głos kruka, a jeszcze rzadziej wierzymy, że on istnieje.

- Jancy słyszy go głośno?

Thomas zamyślił się. Milczał tak długo, że zacząłem przypuszczać, iż nastąpiła komplikacja i rytm roztopił jego osobowość.

- Siedzi na jej ramieniu i nieprzerwanie kracząc wprost do ucha - odpowiedział w końcu.

- A rytm go ucisza?

- Nie - odparł. - Rytm ją powstrzymuje. Inaczej sama stałaby się krukiem i wydziobała nam oczy.

Obrócił głowę, jakby ktoś niewidzialny poklepał go po ramieniu.

- Gotowe - rzekł. - Teraz na kilka minut stracimy przytomność.

Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że biorę udział w wielce nielegalnym przedsięwzięciu.

- Dlaczego to robisz, Thomas? Kochasz ją?

Zastanowił się przez chwilę.

- Razem dorastaliśmy. Nie pamiętam dnia bez obecności Jancy.

Powiedział tylko tyle. Rytm był gotów. Thomas uniósł powiekę dziewczyny i przysunął swoje oko do jej twarzy. Nastąpił kontakt. Dla postronnego obserwatora wyglądali jak para kochanków połączona namiętym pocałunkiem. Ręka Jancy uniosła się, po czym opadła na poduszkę, palce lekko chwyciły kosmyk włosów. Dziewczyna była piękna - piękniejsza od swych sióstr - i pozbawiona wyrachowania, które mogłoby zburzyć jej czystość i urodę.

Poczułem się jak intruz. Zmieszany odwróciłem głowę. Gdy spojrzałem ponownie, oboje leżeli nieprzytomni, spleceni w uścisku. Pierwszy przebudził się Thomas. Nic rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło, ani o jego samopoczuciu.

Thomas był dla mnie zagadką. Czasem zastanawiałem się, czy istniał naprawdę, czy był jedynie stertą liści, wirującą w podmuchach wiatru.

A Jancy? Jancy istniała, a jej obecność wprawiała mnie w cholerne zakłopotanie, szczególnie gdy, tak jak teraz, w milczeniu obserwowała mą duszę. Robiła to już uprzednio. Co prawda, niezbyt często odwiedzałem dom sióstr Calhoun - wolałem unikać opiekuńczej wszechobecności Georgii - lecz czasem spotykałem się z Jancy. No dobrze, przyznaję - była jedyną kobietą, z jaką się spotykałem.

Łączył nas nawet jeden wieczór namiętnej, choć pełnej zażenowania i... niespełnionej miłości. Wówczas opowiedziałem jej o dawno utraconej Sarze. I zawsze był Thomas - nasz druh, czuwający gdzieś wśród gwiazdowego pyłu. Czy to myśl o nim powodowała nerwowość Jancy? Spytałem ją o to, gdy leżeliśmy obok siebie.

- Nie jestem najlepsza we wzajemnych kontaktach - usłyszałem w odpowiedzi.

Dowiedziawszy się o Sarze, z głębokim smutkiem popatrzyła na mnie bez słowa. Teraz znów patrzyła, w szczególny dla siebie sposób widząc moje uczucia - żal z powodu Radza zmieszany ze wspomnieniami. Mój pierwszy pocałunek z Jancy, pierwszy pocałunek z Sarą. Być może mój obecny stan ducha niezbyt różnił się od tego z przeszłości. Sara. Radz. Wzór gęstniał, wplątywał się w nasze życie niczym winorośl porastająca zapomniane, połamane przedmioty. Gdy spróbowałbyś zerwać pnącze, graty rozsypałyby się wokół, pozbawione łączącej je nici.

- Czarne, spalone kartki spływają w dół, przykrywają cię, Will. I jest ogień; niewielki, lecz gorący i wściekły.

Czułem to samo, wiedząc, że powinienem opowiedzieć prawdę o Thomasie, o Radzu, o beznadziejności sytuacji. Mimo że nie powinienem o to pytać, instynkt reportera domagał się wyjaśnień w sprawie wieczoru, za który dziękował Bently.

Nagle drzwi do pokoju stanęły otworem i spomiędzy zawiasów rozległ się głos domu.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panno Jancy, ale przyszła pani Georgia i nalega na natychmiastową rozmowę.

Skrzydła drzwi kiwały się w tę i z powrotem, a każdy pisk powodował, że mocniej zaciskałem zęby. Nienawidziłem źle naoliwionych zawiasów.

Jancy rozluźniła się lekko i odwróciła wzrok ode mnie.

- Za chwilę - odpowiedziała. - I przestań drażnić Willa tym skrzypieniem.

- Tak jest - odparł dom, tym razem z klepki tuż pod moimi stopami.

Chciałem coś dodać, lecz głos mówił dalej.

- Pani Georgia twierdzi, że to nic może czekać. Idzie na górę.

Jancy metodycznymi, lecz szybkimi ruchami poczęła składać kołdrę, nad którą pracowała uprzednio.

- Georgia uważa, że zwariowałam. Że moje kołdry to wariactwo - powiedziała. - Lepiej idź już, Will.

- Jancy....

- Georgia jest wściekła. Wczoraj byłam z mężczyzną. Georgia dowiedziała się o tym.

- To był Kem Bently, prawda? - spytałem.

Jancy wyglądała na zaskoczoną. Jak gdyby sama dotąd nic wiedziała, z kim przebywała.

- Tak, to on. Tu, w domu. Poszłam wczoraj do galerii i...

Na jej twarzy odmalowało się skupienie, a ręce znowu poczęły miętosić powietrze, mimo że reszta ciała pozostawała w bezruchu. Wyglądała tak, jakby próbowała uporządkować skaczące przed nią przedmioty i ułożyć myśli w spójną całość.

- Mężczyźni. Ze zwisającymi z was żądzami, z płonącym wnętrzem... Gdy zabraknie mi rytmu, czasem nie wiem, co robię. Nic wiem, kim się staję.

Nie zwracała na mnie uwagi, mrużąc do siebie. Podeszła do stojącego w kącie kufra i poczęła mocować się z zamkiem.

- Moja siostra jest pełna godności. Ma w sobie blask świeżego krzewu winnego oplecionego wokół metalowej balustrady.

- Jancy, musimy zdobyć lekarstwo dla ciebie... - powiedziałem, idąc w jej stronę z zamiarem pomocy.

Udało mi się otworzyć kufer. Jancy wepchnęła koldrę do wnętrza i zatrzasnęła wieko. Obróciła się, wpatrzona dziko w stronę drzwi. Ze schodów dobiegał stuk wysokich obcasów Georgii. Drżąca ręka Jancy spoczęła w mojej dłoni. Nic miałem pojęcia, co się dzieje. Georgia Calhoun była sekutnicą, lecz strach Jancy graniczył z przerażeniem. Jakby Georgia stała się potworem, przybywającym aby ją pożreć. Jak gdyby Jancy zobaczyła potworną duszę Georgii.

- Jest na mnie zła. Pogardza mną. Z jej dumnej winorośli zwisają purpurowe kwiaty.

Georgia dotarła do szczytu schodów.

- Krwawiące kwiaty - szepnęła Jancy.

- Powinnam się była domyśleć - powiedziała Georgia, stając sztywno w drzwiach i nie mając zamiaru przekroczyć progu pokoju. - Jeszcze jeden tani...syn. I znów w domu. W moim domu.

- Proszę pani, ja... - zacząłem, lecz Georgia posłała mi ponure spojrzenie.

- Do tego transssmitter - syknęła, przeciągając zgłoski.

- Nic wydarzyło się tu nic niestosownego - powiedziałem, pragnąc, aby mój głos brzmiał rozważnie i zdecydowanie. Byłem w końcu starszy od niej o pięćset lat.

- Myślę, że lepiej będzie jeśli pan pójdzie, panie James - odparła Georgia, rzucając mi tak jadowite spojrzenie, jakie uprzednio widziałem jedynie podczas spotkania pomiędzy radykałami Kleru i indiańskimi separatystami.

Wiedziałem, że ludzie mojego pokroju traktowani są bardzo niechętnie przez resztę społeczeństwa, co wynikało z niejasnego podejrzenia, że nie da się w pełni uczynić człowiekiem kogoś, kto był jedynie wiązką promieni gamma. Na dodatek pochodziłem z połowy dwudziestego pierwszego wieku, z czasów gdy Rozgłośnia dopiero zaczynała swoją działalność. A tak naprawdę, to byłem jednym z dwudziestu kadetów, którzy jako pierwsi stworzyli Korpus Radiowy. Wielu z nas tego nic przetrwało. Na przykład Sara. To tylko zwiększało podejrzliwość wobec mojej osoby.

Ja nie miałem wątpliwości, że jestem takim samym człowiekiem, jak inni. Co innego Georgia. Traktowała „transmitterów” jak pośledni rodzaj robota. Nic mogłem jej na to pozwolić.

- Wyjdę, kiedy Jancy mnie o to poprosi - powiedziałem twardo i wykrzywiłem usta w kwaśnym uśmiechu.

Georgia weszła do pokoju.

- Wezwać szeryfa - rzuciła krótko.

- Z przyjemnością - odparły zawiasy.

Będę miał materiał na pierwszą stronę, pomyślałem. Z mego własnego aresztowania. Georgia stanęła z boku, wskazując mi drzwi.

- Nie! - odezwała się Jancy. - Zabraniam. Nie róbcie niczego.

- Będzie, jak powiedziałam - rzekła cicho Georgia.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Potem głos domu wypełnił pomieszczenie.

- Jestem własnością Georgii Lec Calhoun, Wren Warren Calhoun i Jane Kildrey Calhoun. Dla rozstrzygnięcia zaistniałego sporu i podjęcia dalszych działań muszę zasięgnąć opinii Wrenny Calhoun...

- ...która powie ci, że jeśli wezwiesz policję, to może wyjść na jaw fakt ukrywania przez tę właśnie Wrenny milutkiego zapasu wolnej od cła wódki, którą pewien przystojny kapitan gwiazdolotu dostarcza z wypraw w okolice Drogi Mlecznej - dodała Wrenny, z trudem chwytając się framugi. Była zupełnie zalana. - Nie ma najmniejszych powodów, aby wzywać szeryfa - zakończyła.

Chciała tupnąć na potwierdzenie swych słów, lecz straciła równowagę i rozlała płyn z trzymanej szklanki.

- Wrenny, jesteś pijana - powiedział Georgia głosem ponurym jak niebo przed burzą. Odwróciła się w stronę Jancy nerwowo i pierwsza błyskawica rozświetliła widnokrąg.

- Jancy, powiedz temu mężczyźnie, aby wyszedł.

- On nic jest zły, Georgio. Nic jest ciemny, ani wilgotny, jak tamten. Błyszczą niczym woda w promieniach słońca. Dzisiaj czuję się lepiej. Naprawdę.

- Powiedz mu, żeby wyszedł.

Dostrzegłem głęboki smutek na twarzy Jancy. Poczułem ogarniający mnie gniew. PókJ rozmazał się, jakbym patrzył przez łzy wypełniające mi oczy.

- Przykro mi, że mnie nienawidzisz, Georgio - powiedziała Jancy. - Tak bardzo mi przykro.

Poczułem dziwną miękkość w nogach. Spojrzałem w dół.

Kurwa. Stopy mi się roztopiają.

Moje stopy rozpływały się niczym kawałek masła na świeżej grzance. To było niewiarogodne. Wszystko, o czym potrafiłem w tej chwili myśleć, to o kuku z poematu Poego, głosem charczącej trąbki ogłaszającym koniec świata.

Oparłem dłoń o kufer, aby utrzymać równowagę. Stwardniałe ze starości drewno ugięnało się niczym gąbczak.

- Nie wiem o czym mówisz, Jancy. Jestem twoją siostrą. Chcę dla ciebie jak najlepiej - Georgia mówiła, jakby jej gardło wypełnione było flegmą.

- Georgio, nie mam zamiaru cię skrzywdzić - powiedziała Jancy. - Ja chcę cię skrzywdzić.

Przypomniałem sobie, co mówił Thomas o kuku wydziobującym oczy.

Georgia desperackim ruchem odwróciła się w stronę Wrenny.

- To jeden z jej ataków. Znowu ma atak. Wrenny, pomóż mi ją uspokoić!

Wrenny stała w miejscu, kiwając się lekko i chichocząc nerwowo. Spojrzałem na Jancy. Z bólem w oczach patrzyła na siostrę.

- Nie mam rytmu - powiedziała. - Georgio, zupełnie mi go zabrakło.

Georgia postąpiła w stronę dziewczyny, lecz im dalej się posuwała, tym bardziej płynne stawały się jej ruchy. Jej skóra zaczęła spływać niczym gęsty syrop. Zerknąłem na własne dłonie. Błyszczały lekko, jak gdyby pokryte tłuszczem.

Miałem żal do Thomasa, że wyruszył na poszukiwanie rytmu. Nie mógł paść ofiarą metafizycznego topnienia. A może mógł? Może zasięg przemian ogarnął całą planetę? Może Jancy ściągnęła wokół nas cały wszechświat? Nie, to niemożliwe. Wrenny wyglądała na nietkniętą. Cokolwiek to było, miało jedną, jedyną przyczynę. Georgię Calhoun.

Chwyliłem Jancy, zanim zdołała się zorientować, co zaszło. Dziewczyna była wysoka, lecz szczupła. Uniosłem ją w ramionach, choć moje ręce przypominały gnijące drewno i wybiegłem z pokoju. Większość schodów pokonałem ślizgając się na tyłku - miałem wrażenie, że część mojego ciała pozostała przyklepiona do stopni - po czym zerwałem się i dopadłem drzwi. Jancy nie była miękka. Nie topniała. Zdawała się być odporna na wywołany przez siebie efekt.

Pobiegłem ulicą za róg budynku, w stronę niewielkiego parku. Tabliczka z głośnikiem informowała właśnie o tym, jak pierwsi osadnicy wpadli na pomysł posadzenia drzew przywiezionych z Ziemi. Posadziłem Jancy pod głośnikiem i cofnąłem się. Gdy odszedłem o kilkanaście kroków, poczułem, że moje ciało pomału tężeje, powraca do pierwotnej formy. Coś podobnego musi odczuwać woda zamarzająca w pojemniku.

Pod wpływem działania Jancy tabliczka zmieniła się w cienki brązowy strumyczek, a ziemia wokół zapadła na kilka centymetrów. Dziewczyna wybuchnęła gwałtownym płaczem. Chciałem podejść, uspokoić ją, lecz uznałem, że lepiej będzie dla nas obojga, jeśli nic rozpadną się na jej oczach niczym dogorywający trędowaty. Pozostałem w pewnej odległości.

Po chwili Jancy wstała.

- Już wszystko w porządku, Will - powiedziała. - Przyjdź i opowiedz, co się stało z Thomasem.

Usiedliśmy na parkowej ławeczce w pobliżu roztopionej tabliczki z głośnikiem. Zdjąłem kurtkę i owinąłem nią Jancy. Włączyłem termostat w rękawie koszuli i po chwili przestałem odczuwać zimo.

Jak na tę porę roku dzień był wyjątkowo pogodny. Ale znajdowaliśmy się przecież niemal na równiku.

- Najpierw ty opowiesz, co się wydarzyło - powiedziałem. - Czy powinniśmy wezwać lekarza do twojej siostry?

- W porę mnie stamtąd zabrałeś - odparła Jancy. - Ludzie zaczynają wrzeć dopiero po kilku minutach. Jeśli zniknie źródło ciepła, powracają do normalnego stanu.

- Robiłaś to już przedtem?

Spojrzała zaskoczona. Potem posmutniała i odwróciła twarz.

- W ten sposób zabiłam mężczyznę. Myślałam, że go kocham.

Dotknęła kącika oka, jakby ocierając łzy, lecz jej powieki były zupełnie suche.

- Próbował mnie skrzywdzić. Potem się ugotował - szepnęła. - Wczoraj też. Nieomal...

- Pamiętasz wszystko, co się wydarzyło?

- Ach... nic. Jego twarz. Była niczym stara dynia...

Podziękowałem losowi, że pamiętnej nocy nic udało mi się osiąść Jancy.

- W takich chwilach wszystko wiruje...

- ... i musisz złapać się czegokolwiek, aby utrzymać świat w miejscu - dodałem.

- Zapominam, czym jest świat, a on zaczyna zapadać się...

- Wyzyskałaś żądzę Bentley'ego, aby się skupić, nic bacząc, że wszystko ma swoją cenę.

- On chciał i ja chciałam. Lecz on był zły i to mnie zmartwiło. Wszystko znów zaczęło się zapadać.

- Weszła Georgia.

- Tak.

- A on wyszedł. Świat powrócił do normy, ale ty nic nie pamiętałaś.

- Tylko to, o czym opowiedziała rai Georgia.

Siedzieliśmy przez dłuższą chwilę, spoglądając na betonowy słup, na białe miejsce po roztopionej tabliczce. Głośnik również uległ zniszczeniu. Panowała cisza.

- Musimy zdobyć dla ciebie rytm, Jancy - odezwałem się w końcu. Otrząsnęła się z zamyślenia.

- Co się stało z Thomasem?

Opisałem jej wydarzenia poranka. Powiedziałem o Radzu. Najpierw cicho wymówiła jego imię, potem zwróciła się do mnie.

- Gdzie jest teraz Thomas?

- Poszedł do Przeznaczenia - odparłem, czując, że mój umysł powraca do dawnej sprawności. Czy topniał wraz z resztą ciała? - Chce zdobyć rytm...

Nic mogłem powstrzymać natłoku myśli.

- Jancy... to, co robisz, jest cholernie niesamowite. Nadaje się do prasy.

Jancy wstała, podeszła do granicy parku i zatrzymała się na jej obwodzie. Nie słuchała, co mówiłem.

- To wszystko moja wina - powiedziała.

Pociągnęła lekko nosem i chlipnęła.

- Gdybym potrafiła wydłubać sobie oczy, żeby nic nie widzieć!

- Jancy, twoje oczy są przepiękne - powiedziałem, nie od razu pojawiając się, o co jej chodzi. Przepiękne oczy były teraz pełne łez.

- To mój wzrok zmiękcza strukturę przedmiotów i ludzi, powoduje, że topnieją. W świecie prawdy widzisz to, czym się stajesz.

Słyszałem, jak Wędrowcy i gwiazdni żeglarze używali w swych rozmowach rozróżnienia: „świat realny” - ten, w którym wszyscy żyliśmy - i „świat prawdziwy”: phenomena inoumena. Wiedziałem, że Efekt pozwala przekraczać granicę obu światów. W ten właśnie sposób Indianie z Missisipi, a za nimi osadnicy Westpaku, podróżowali do gwiazd - na zewnątrz czasoprzestrzeni tworzyli mentalną kopertę, ofrankowaną przez umysł dowódcy wyprawy i wysyłali ją pocztą prawdziwego świata. Kilka tygodni, miesięcy lub lat później - zależało to wyłącznie od wartości kapitańskiego znaczka, od zwinności umysłu i wyobraźni - list docierał do miejsca przeznaczenia odległego owicie lat świetlnych od punktu startu. Metafizyczna sztuczka na ciele wszechświata dokonana przez wyjątkowo zdolnego prestidigitatora, jakim niewątpliwie była ludzkość. Lecz Jancy mówiła o czymś innym. O rzeczach z prawdziwego świata próbujących przeniknąć do naszego, realnego. Uważała, że dzieje się to z niepokojącą regularnością.

- Możesz wetknąć mnie do swojej gazety - odezwała się dziewczyna. - Widzę, że chodzi ci tylko o to.

Podszedłem bliżej i odwróciłem ją twarzą do mnie. Dłonie oparłem na jej ramionach. Wyglądała w swej perkalowej sukience tak krucho, jak mały, roztrzęsiony ptaszek.

- Pragnę, abyś była szczęśliwa i bezpieczna. Od czego zaczniemy?

Spojrzała zdziwiona, po czym uśmiechnęła się. Widziałem już kiedyś taki uśmiech. Po raz pierwszy kilka lat temu, gdy całowaliśmy się i dotykaliśmy nawzajem. Ale aby przywołać głębsze wspomnienie, musiałbym się cofnąć o pięćset lat, do innej dziewczyny, tej z Oregonu, o włosach i oczach, których nie mogłem zapomnieć. Naprawdę nic powiniennem całować Jancy. Wybrałem nieodpowiednią chwilę, lecz mimo to nie stało się nic złego. Wiatr dmuchnął mocniej, mierzwiąc jej włosy niczym dziecku. Wiatr. Wspomnienia sprzed pięciu wieków zajaśniały na końcach włosów Jancy światłem, jakiego nigdy nic mogłoby wykrzesać słońce Kandeli.

- Pójdziemy do mnie? - spytałem. - Nic powinnaś dziś wracać do domu.

- Dobrze.

Najpierw wstąpiliśmy do biura. Przygotowałem śmigacz, a następnie z lekkim poczuciem winy włączyłem algorytm redakcji i druku, aby samodzielnie przygotował kolejne wydanie „Chłodnym Okiem”. Potem zabrałem Jancy do swego mieszkania. Przez całą drogę ścisnęła mi dłoń.

Nie jestem krezusem, chociaż nawet gdybym miał środki i chęci, nie mógłbym kupić takiego domu, w jakim zamieszkiwały siostry Calhoun, ze względu na przepisy ograniczające teren pod zabudowę. Mój majordomus jest niemy, sprawny i dyskretny. Seryjny model o osobowości kamerdynera z zamierzchłej przeszłości Ziemi. W mieszkaniu panuje porządek, gdyż spędzam w nim zbyt mało czasu, aby skutecznie nabałaganić. Mam wiele wygodnych mebli - nic artystycznego ani wartościowego, lecz solidne stare rzemiosło. Wykosztowałem się jedynie na łóżko sprowadzone aż z Ziemi. Dawno temu również było moją własnością. Materac sporządzono z liści miejscowego gąbczaka. Nic lepiej nie zapewnia wygody ludzkiemu ciału.

Po przekroczeniu progu znów się pocałowaliśmy.

- Pragnę czegoś, czego mogłabym się chwycić - szepnęła Jancy. Z desperacją pocałowała mnie po raz kolejny.

W domu panowała cisza i słyszałem szelest kurtki okrywającej dziewczynę. Brzmiało to jak poszum wiatru w gałęziach.

- Lepiej przestańmy - powiedziałem, próbując się cofnąć. Jancy przywarła mocniej. Łagodnie rozluźniłem jej dłonie oplatające mój ogrzewany przyodziewek.

- Gdybyś wiedziała, kogo widzę, gdy patrzę na ciebie - powiedziałem - znów byłabyś smutna.

- Sarę - odparła.

- Zawsze.

- Uważasz, że zwariowałam - odeszła i usiadła na kanapie.

- Postrzegasz świat inaczej niż inni. To wszystko.

- Czy przypuszczasz, że Georgia ma rację?

Sięgnęła do kieszeni ukrytej w fałdach spódnicy i wyjęła list zakodowany w niebieskim plastiku, którego używają lekarze i prawnicy.

Podszedłem delikatnie wyjąłem list z jej dłoni. Usiadłem przy biurku i włączyłem aktywizator.

W mojej głowie ukazał się obraz mężczyzny o prostych ciemnych włosach rozdzielonych pośrodku głowy i przystrzyżonych nad uszami. Typowo po ziemsku. Na tyle, na ile pozwalał list, dokonałem inwersji postrzegania. Facet zastygł w połowie chrząknięcia, a ja spojrzałem na Jancy. Siedziała na kanapie spięta i skurczona, jak zwierzątko gotowe w każdej chwili do ucieczki lub samoobrony. W moim domu jest bezpieczna, pomyślałem i powróciłem do listu.

Mężczyzna był opalony - za mocno jak na mieszkańca Kandeli, chyba że używał kosmetyków. Mówił zrównoważonym, nosowym głosem.

Kochana Georgio.

Oczywiście, że pamiętam czasy, gdy mieszkaliśmy w Einory. Przyjęcia w Aliancie, wyścigi tratw w Chatahochee. I siebie, trzymającego w ramionach żywy obraz piękna i dumy starych Stanów. Mam jedynie nadzieję, że koloniści docenili mądrość i urok prawdziwej kultury, z jaką przyszło im się spotkać, gdy powróciłaś pomiędzy gwiazdy.

I tak dalej. Nic wiedziałem, że Georgia studiowała na Ziemi. To wiele wyjaśniało.

Przejdę teraz do odpowiedzi na Twoje pytania - tak, powinnaś spodziewać się kłopotów. Jancy zdecydowanie wygląda na chorą.

Potem następowało kilka uwag na temat niekompetencji lekarzy z Terytorium. W końcu przyszedł czas na diagnozę.

Kasety, które przesiałaś, pokazują Jancy wykonującą gwałtowne, nieskoordynowane ruchy i mówiącą bez związku. Zestawiwszy to z dołączonym przez Ciebie opisem, doszedłem do przekonania, że choroba jest poważna. Nie chciałbym zanudzać Cię szczegółami, ale przypuszczam, że Jancy cierpi na zaburzenia osobowości spotykane wśród mieszkańców pogranicza, a znane jako DPD - Borderline Personality Disorder.

Na szczęście, jak twierdził autor listu, choroba ta była uleczalna, pod warunkiem dostarczenia pacjentki do Bryce Hospital w Tuscaloosa. Z pewnością Georgia potrafiłaby zapewnić dla Jancy najlepszą podróż via Westpak, a w szpitalu czekałaby troskliwa opieka. Twarz mówiącego zniknęła, a na jej miejscu pojawił się niewielki emblemat - wąż Eskulapa

owinięty wokół gałązki magnolii. I podpis nakreślony ozdobnym pismem - dr med. Deason Allerby.

Potem ujrzałem czystą kartkę papieru i usłyszałem głęboki, wystudiowany głos kobiety czytającej wiadomość. Do mych uszu dobiegły tylko trzy słowa.

PROŚBA O PRZEWÓZ CHOREGO

- Matko Boska, Jancy! Ona chce cię odesłać do czubków!

Jancy zerwała się z kanapy i stanęła, drżąc niby wystraszona łania.

- Zimno tu - powiedziała. Dom natychmiast włączył ogrzewanie. Mój dom był zawsze uczynny wobec kobiet.

- Codziennie odlatuję coraz dalej i dalej, gdzieś w ciemność.

Na to dom nie potrafi! zareagować. Jedyne, co mógł zrobić, to maksymalnie rozjaśnić szyby frontowego okna i wpuścić jak najwięcej dziennego światła.

- Jesteś zdrowa. Potrzebujesz jedynie rytmu - powiedziałem.

- Widziałeś, co się stało. Mogłabym kogoś skrzywdzić.

Cóż miałem odpowiedzieć? Na własnej skórze odczułem jej umiejętności. Przyznała się, że zabita człowieka, a wczoraj nieomal to samo nie spotkało Bently'ego.

Z drugiej strony, wiem niemal o wszystkim, co dzieje się na powierzchni tej planety i kawał pod nią, a nigdy nie słyszałem o nic wyjaśnionym przypadku śmierci spowodowanej rozpadem metafizycznym. Normalka - ktoś zginął! przez głupotę, w wypadku, zabity z zazdrości, albo z chęci zysku. Podejrzywałem, jakie intencje kierowały Georgią, gdy przygotowywała dokumenty. Stary Stephen Calhoun, dziadek Jancy, otrzymał od Indian godność honorowego członka Rady za zręczność, z jaką prowadził negocjacje z Westpakiem. Tytuł był jednoznaczny z nadziałem ziemi. A indiańska ziemia oznaczała dziś tylko jedno - złoża gliny luza.

Nie występująca na Ziemi, stanowiła wyłączną własność Indian na całym Terytorium. Byłaby bezużytecznym kawałkiem czerwonej gleby... gdyby nic pewna właściwość. W swym naturalnym stanie stanowiła złożoną materię, zdolną do przechowywania algorytmu dynamicznego upakowanego w niezwykle małej przestrzeni.

Program mogący kontrolować całe miasta, z łatwością mieścił się i działał w kulce gliny wielkości pięści.

Był to doskonały nośnik informacji. I równie doskonały kamuflaż dla przemycanego rytmu. Indianie odmawiali sprzedaży gliny.

- Jancy, kto przejął otrzymaną od Indian działkę po śmierci twojego ojca?

- Ja - odparła. - Czasem chodziłam lam, aby szyć kołdry.

Mój dom wydał ciche chrząknięcie, jak czynił zawsze, gdy chciał zwrócić mi na coś uwagę. Cokolwiek to było, mogło poczekać.

- Georgia chce ją przejąć - powiedziałem. - Z powodu gliny. Nic jesteś nienormalna. Nic musisz iść do szpitala.

- Może to prawda, a może nic - odparła z uśmiechem; najbardziej rozsądnym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Chodzi mi o Georgię. Kocham ją. Ale jest coś w niej, czego się boję, co dyszy z głodu. To... coś chce, żebym odeszła. Mały karaluch drążący dumną winorośl.

- Mogę to dostrzec nawet w realnym świecie - mruknąłem.

Jancy odebrała mi plastikowy list. Światło wpadające przez okno zamigotało, jakby duży obiekt przesłonił na chwilę tarczę słońca. Pewnie Sara znów zabawiała się z chmurami. Dom ponownie chrząknął.

- Glina - powiedziała Jancy.

Z zewnątrz dobiegł dziwnie znajomy okrzyk. Spojrzałem wokół. Dom otworzył drzwi i chrząknął donośnie, niczym zdenerwowany, lecz zachowujący pozorny spokój kamerdyner. Jancy stanęła obok mnie. Skierowaliśmy się w stronę wyjścia. W połowie drogi przypomniałem sobie, gdzie słyszałem podobne odgłosy - podczas indiańskich igrzysk w trakcie Zgromadzenia. Okrzyk wojenny..

- Niesamowite - powiedziała Jancy po przekroczeniu progu. Patrzyła w lodowato błękitne niebo Kandeli.

Zrozumiałem, co miał na myśli Thomas, mówiąc, że Indianie pomogą mu zdobyć rytm.

Około pięćdziesięciu karni, każda z dwoma wiosłującymi wojownikami, wzbijało się w górę i kierowało na wschód. Były już około ośmiuset metrów nad ziemią, lawirując wśród podmuchów wiatru, niczym między wzburzonymi falami jeziora. Stu Indian na niebie.

Thomas wykopał topór wojenny. Po raz pierwszy w tym pokoleniu. Jutrzejsze wydanie „Chłodnym Okiem” ukaże się w zwiększonym nakładzie.

Zrozumiałem, co czuli w podobnych chwilach pierwsi osadnicy. Czułem to samo. Nigdy dotąd nie oglądałem tylu łódek jednocześnie. Stanowiły cudowny widok. Pełen patosu, a także... przerażający.

Wiedziałem, kto teraz powinien się bać, jeśli był na tyle głupi, że powrócił do swego bistro i galerii. A powrócił na pewno, próbując wydobyć z Verny algorytm Radza. Thomas sprawdził to, zanim podjął ostateczną decyzję.

Gdy kanu przesunęły się nieco na wschód, mogłem wyraźniej dostrzec niektórych wojowników. Thomas był w szpicu eskadry, wraz z nie znanym mi Indianinem. Bez Radza musiał korzystać z usług drugiego wioślarza. Był zbyt daleko, abym mógł dostrzec wyraz jego twarzy, lecz na miejscu Bentley'ego szukałbym każdego sposobu, aby znaleźć się jak najdalej od wytatuowanej twarzy i zimnych jak wyrok losu oczu Wędrowca.

3.

Jeszcze nie opowiedziałem ci wszystkiego, co wiem o Thomasie i Jancy. Dorastali razem, zanim Thomas opuścił Jackson i stał się Wędrowcem pośród ziomeków swej matki. Ojciec Thomasa, stary Jeremiahs Fall, i matka Jancy, Margaret Dillard, także stanowili parę przyjaciół z dzieciństwa. Wszyscy byli przekonani, że oni się pobiorą, co też uczynili, tyle że z całkiem innymi osobami. Margaret wyszła za Rexa Calhouna, a Jeremiahs poślubił Metayandi, Siostrę Słońca z Przeznaczenia. Niektórzy powiadali, że Margaret do końca życia żałowała swej decyzji. Jeremiahs poprosił ją o rękę, lecz ona wybrała spokój i bezpieczeństwo u boku Calhouna. Nigdy nie dowiedziałem się, jak było naprawdę. W czasie, gdy przesyłano mnie poprzez gwiazdzistą przestrzeń, syn Jeremiasza i Metayandi imieniem Thomas pobierał nauki u swego wuja, Herberta Sandle'a, jak stać się Wędrowcem.

Poznałem Jancy, gdy zdecydowałem się na kupno „Chłodnym Okiem”. Calhounowie posiadali część udziałów, lecz gazetę przestano wydawać wiele lat temu, robiąc miejsce konkurencyjnemu „Kurierowi”, który później przekształcił się w wydawane przez Westpak „Wiadomości”. Wszystkie cholerne lokalne dzienniki redagowane były przez pozostawione bez nadzoru maszynki i podawały wiadomości z miesięcznym opóźnieniem, poświęcając za to wiele uwagi ploteczkom i skandalom towarzyskim. W ten sposób zniszczono wiele dobrych gazet. Uparcie walczyłem o swoją, zarabiając dolar po dolarze na ogłoszeniach. Na początku, gdy już prawie załatwiłem zakup przez adwokata, Georgia dowiedziała się, że jestem „transmitterem” i zablokowała transakcję. Musiałem osobiście odwiedzić Jancy oraz Wrenny i przekonać je, że ze mnie całkiem miły facet.

Nie martwiłem się o pieniądze. Ten ja, który pozostał, gdy moja kopia wystana została w kosmos, wpłacił do banku dwa tysiące dolarów, które miałem odebrać po jego śmierci. Po mojej śmierci. W roku 2107. Procenty narastały przez pięćset lat i prawdopodobnie, gdybym chciał, mógłbym kupić całą rodzinę Calhounów. Według ziemskich standardów byłem bogaczem. Lecz wszystko, czego wówczas pragnąłem - to mieć własną gazetę.

Podczas pierwszego spotkania uznałem, że Jancy jest miłą dziewczyną, chociaż trudną w rozmowie ze względu na zbyt obrazowy styl, którym się chętnie posługiwała. Przypomina-

ła mi wiosnę w Missouri. Powiedziałem jej, że pragnę wydawać gazetę dla całej planety - a nie kronikę towarzyską Jackson. Odparła, że jeśli chcę mieć wszystkie wiadomości, powinienem poznać Wędrowca, a szczególnie Wędrowca z Przeznaczenia.

Herbert Sandle nie wyglądał na zachwyconego tym pomysłem. Był separatystą, cenił tradycję. Wykorzystałem więc jego namiętność do piwa i staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Jestem typem samotnika, w czym nieco przypominam Thomasa. Obaj niezbyt przesiąkliśmy kulturą świata, w którym przyszło nam żyć. Thomas wyrzekł się całego wykształcenia, jakie dał mu Westpak, lecz nigdy nie zapomniał dwóch rzeczy - jak mówić po angielsku oraz... Jancy Calhoun.

Początkowo myślałem, że to miłość... potem dowiedziałem się o rytmie szmuglowanym dla dziewczyny przez Thomasa i zacząłem podejrzewać, że w zamian za narkotyk korzysta z jej ciała. Lecz ktoś taki jak Thomas bez dodatkowego kłopotu mógłby mieć każdą inną, a im bardziej poznawałem Jancy, nabierałem przekonania, że ona nie należy do tego typu kobiet. Czasem przypuszczałem, że Thomas darzy dziewczynę czysto braterską miłością, czasem wyglądało na to, że jest inaczej. Mimo wszystko - co roku powracał, aby przywieźć jej rytm.

Niejasno zdawałem sobie sprawę, że istnieje między nimi coś więcej, coś, czego nie rozumiałem. Zawsze obserwowałem ich uważnie w nadziei rozwiązania tej zagadki. Nic ulegało wątpliwości - zwykle łagodny i czuły Thomas czasami bywał szorstki, jak choćby dziś rano, kiedy zdecydował się najpierw iść do Przeznaczenia, a dopiero potem odwiedzić Jancy. Wydawało mi się, że toczył nierówną walkę ze swym uczuciem.

Jancy była częścią wszystkiego, czego się wyrzekł - aroganckiej, demokratycznej kultury Zachodu, poruszającej się z gwałtownością robota, materialistycznej i pozbawionej duszy. Lecz była także sobą - Jancy Calhoun, dziewczyną, która posiadała nie kontrolowaną moc - lub chorobę - i której Thomas postanowił pomóc. Jako Wędrowiec, większość swego życia spędził podróżując w prawdziwym świecie. Dotarł także w każdy zakątek świata realnego i wiedział, gdzie zdobyć najlepszy rytm na całym Terytorium.

Póki nie zobaczyłem Georgii roztapiającej się niczym figura z wosku i nic odczułem podobnego efektu na własnym ciele, nie rozumiałem, czym naprawdę jest rytm. Ludziom, którzy czuli rytm (sami siebie nazywali „tancerzami”), narkotyk służył niczym osobisty niewolnik. Rytm zwykle był kopią osobowości ludzkiej istoty, zakutą w system bezpieczeństwa i algorytm bólu/przyjemności. Wchłonięty przez nerw oczny rozpoczynał w mózgu użytkownika darmową pracę, działając gorączkowo, inteligentnie, zaspokajając najskrytsze marzenia.

Im lepszy rytm, tym dłuższy był jego żywot oraz łagodniejszy efekt uboczny odczuwany z chwilą jego śmierci. A umierał zawsze - z przesyty, zmęczenia i bólu.

Zauważyłem, że w przypadku Jancy rytm nie powodował prostego ciągu przyczynowo-skutkowego łączącego korę mózgową z ośrodkiem przyjemności, jak u innych tancerzy. Nic wywoływał u dziewczyny wielokrotnego orgazmu psychicznego, jak w przypadku monotancerzy, ani nie przenosił jej wyobraźni na szczyt Mount Everestu, jak działo się to z tancerzami hula i kanapowymi obieżyświatami.

Wchłonięty środek aktywizował się w niezwykle złożonym procesie, dzięki czemu Jancy odnajdowała spokój i punkt oparcia. Jej osobowość scalała się, a otaczający ją świat powracał do normalności. Cholera, nazwijmy rzecz po imieniu - rytm powstrzymywał ją od przekształcenia nas wszystkich w kleiste gówno.

Na takich podstawach opierał się wzajemny związek Jancy i Thomasa i z tego też powodu Indianie skierowali swe kemu w stronę domu Bently'ego. Zarzewie, które mogło rozpętać wojnę na całym Terytorium.

- Czarne chmury napęczniałe gromem - odezwała się Jancy. - Krwisty ogień plonie wewnątrz niczym błyskawica.

- Indianie weszli na wojenną ścieżkę - powiedziałem. - Muszę iść do redakcji, przygotować artykuł, lecz ty zostań w domu.

Nie zwracała uwagi na moje słowa. Patrzyła w górę.

- Thomas - szepnęła. Zaczęła iść śladem kemu. Czułem, jak gdzieś w środku miękne, lecz nie z powodu wzruszenia.

- Nie, Jancy. Obiecałem, że będziesz bezpieczna. W niczym im nic pomożesz.

Prawdę mówiąc, obawiałem się jej pomocy. Wyobrażenia podsuwała mi obraz topniejących ludzi i budynków, rozpływających się, zamieniających w nicość. Możliwe, że po przekroczeniu masy krytycznej proces destrukcji będzie przebiegał samoczynnie. Reakcja łańcuchowa. Po zniknięciu Jackson roztopi się Przeznaczenie, a potem cała Kandela. Galaktyka także. Wszystko.

- Jeśli pójdziesz za nimi i pogrążysz się w smutku, a na pewno tak będzie, zginie więcej niż jeden człowiek.

Widziałem, że zgadzała się ze mną, choć była zbyt wzburzona, aby to przyznać. Postanowiłem pozostawić ją w domu i wynieść się w cholerę. Jancy zacisnęła pięści. Sprawiała wrażenie, jakby zaciskała całe ciało. Niemal siłą wepchnąłem ją za próg.

Dom pomógł mi, zaciemniając okna. Jancy usiadła na kanapie. Zbyt mocno zacisnęła zęby, aby mogła powiedzieć choć słowo. Dom podsunął jej tacę z wodą, owocami i czymś, co

wyglądało na chipsy, choć nie miałem pojęcia, gdzie mogliby je sprzedawać. Jancy sięgnęła po szklankę z wodą i nagłym ruchem uniosła ją do ust, wypijając połowę zawartości.

- Obiecaj mi, że tu zostaniesz - powiedziałem.

- Tak... dobrze - odparła pełnym napięcia głosem.

Pocałowałem ją w czoło i ruszyłem w stronę wyjścia.

- Will...

Odwrociłem się.

- Zajmij się Thomasem. Pomóż mu odzyskać Radza. Radz jest ważniejszy niż ja.

- Zrobię wszystko, co będę mógł - odpowiedziałem i wyszedłem.

Skierowałem śmigacz na główną ulicę. Wokół, w tym samym kierunku, podążali inni. Tłum ludzi ciągnął wzdłuż chodnika, minęło mnie kilka śmigaczy pędzących na złamanie karku. Wezwałem ośrodek pamięci i uruchomiłem zapis. Byłem lekko zaniepokojony, gdyż nawet udoskonalony mózg ludzki nie jest w stanie zanotować kropka po kropce zbyt wielu informacji. Na dodatek podczas wizyty w biurze zapomniałem usunąć zbędny zapis. To jednak nie to, co pisanie na papierze.

W świetle zachodzącego słońca Jackson wyglądało przepięknie. Ulice jarzyły się odbitą czerwienią, niczym skrwawione srebro. Wykonano je z esencji jedwabiu połączonej w nieprzerwane linie, więc przy bliższym kontakcie czujesz, jakbyś dotykał gładkiej, lecz twardej niczym stal tkaniny. Struktura powierzchni odbija światło, dając serię błysków, gdy obserwator przenosi się z miejsca na miejsce. Krwisty kolor drewna i kamienia używanego do budowy domów także pochodził od słońca. Wszystko wokół emanowało delikatnymi odcieniami czerwieni, jakby budynki były butelkami napełnionymi najlepszym rodzajem cabernet sauvignon, a ulice spływały winem.

Za mną, na niebie płonęło słońce. Wyobraziłem sobie Bently'ego jak słucha krzyków i nawoływań; bezskutecznie wpatruje się w słoneczną tarczę, nic widząc nic prócz czerwonego blasku. Potem... coś się pojawia. Plamki. Plamki. Poruszają się ostrożnie, są coraz bliżej. Z nieba nadchodzą Indianie. Może dosłyszeli jeszcze furkot wólczeni alhiil lecących w jego kierunku.

Do moich uszu dobiegł stłumiony huk, dźwięczący w jesiennym powietrzu i odbijający echem od budynków. Kłóś strzelił lub eksplodował pocisk wólczeni. Cokolwiek to było, miało swoją potęgę. Jeszcze kilka wybuchów. Przeszedłem na ręczne sterowanie śmigaczem, aby móc szybować z większą prędkością niż na to pozwalały przepisy. Gdyby mnie zatrzymano, powiedziałbym, że ścigam dzikich Indian. Silnik ryknął i pomknąłem na wschód, wzdłuż jedwabistej ulicy. Pięć lub sześć przecznic dalej dostrzegłem smugę dymu.

Galeria i bistro Bently'ego leżały w gruzach. Ogień buchał przez rozbite okno, w którym zwisał oberwany napis „Zamknięte”, podskakujący pod wpływem wydobywającego się z wewnątrz żaru. Przeciwległą ścianę zdobiły duże, czarne plamy po eksplozjach włócznie alhitl. Ziemia wokół również zryta była lejami wybuchów i pokryta odłamkami. Wokół wejścia do galerii zgromadził się tłum ludzi.

Początkowo przypuszczałem, że zgromadzeni biorą udział w jakiejś ceremonii religijnej, ale gdy znalazłem się bliżej, dostrzegłem obiekt ich zainteresowania. Jedna z kółder Jancy, obrazy, rzeźby leżały na zewnątrz, tworząc spory stos. Zastanowiło mnie, jakimi kryteriami kierowano się przy wyborze. Indianie posiadali dość osobliwe poczucie piękna. Tutaj wyglądało na to, że wynieśli po prostu wszystko.

Kilka osób szperało między leżącymi przedmiotami, lecz na pewno nic z zamiarem kradzieży czegokolwiek. Nie na Kandeli. Tu albo popełnia się przestępstwo na wielką skalę, albo w ogóle.

Jeden z mężczyzn stanął tyłem do stosu i spojrzął w niebo. Dyszał z gniewu.

- Pierdolone czerwonoskóre gnojki! - powtarzał w kółko.

Stojąca w pobliżu kobieta zanosiła się histerycznym płaczem. Dwie inne, nieco starsze, pospieszyły jej z raczej wątpliwą pomocą, domagając się, aby opowiedziała im, o co chodzi. Bardziej niepokojący był dla mnie widok kilku mężczyzn rozmawiających przyciszonymi głosami. Trudno byłoby się doszukać w ich twarzach zaskoczenia lub niedowierzania - jedynie nienawiść. Dwa słowa przechodziły z ust do ust, coraz głośniejszym rozbrzmiewając w ciszy popołudnia: „zniszczyć Indiańców”.

Minąłem szacownych obywateli Jackson, idąc za róg budynku, w kierunku drzwi bistro. Z wnętrza dobiegał zduszony krzyk, przerywany pojękiwaniem. Mechaniczny majordomus płonął. Odnalazłem Verne rozciągniętą na długim stole. Pierś miała zbrukaną krwią, ciało sztywne jak deska. Była martwa od wielu godzin. Poczulem żar bijący od drzwi prowadzących do galerii. Futryny poczęły czernieć.

Nie miałem większej nadziei, że uzyskam pomoc komputera.

- Czy jest tu ktoś jeszcze? - spytałem.

- Boże, co za koniec - szepną! dom. - Płomienie, płomienie liżą me rany, krew wrze niczym lawa.

O, Jezu. Wyposażyli go w algorytm poety. Kiepskiego poety.

- Gdzie jest Kem Bently?

- Odeszli, wszyscy odeszli, prowadzeni przez innych, których skóra była jak płomień i oczy gorzały płomieniem. Płonę, płonę. Kapitanie mój, kapitanie. Odszedłeś. Zniknęły twe słowa i twe dotknięcie.

Zastanowiło mnie, jaki związek łączył Benlly'ego z bistro i galerią. Dom wydał krótki bolesny krzyk, potem zapadła cisza.

Bentley i jego ludzie znajdowali się teraz prawdopodobnie w drodze ku Przeznaczeniu, ciśnięci na dno kanu. Będą żyli, póki Thomas nie odzyska rytmu. Potem umrą. Będą żałować, że nie spłonęli wraz z galerią. Indianie z Missisipi stosowali wyszukane metody torturowania jeńców. Wyszedłem z walącego się bistro.

Nieomal wpadłem na grupę złożoną z burmistrza Oldfrunona, szeryfa Marqueza i członków Pierwszej Brygady miejscowej straży ogniowej. Duży śmigacz strażaków krążył nad nami niczym olbrzymia ważka, lejąc strumienie wody z rozczapierzonych odnóży. Dach galerii zapadł się z błyskiem rozżarzonych gontów.

- Pozostał ktoś wewnątrz? - spytała dowodząca strażakami Janet Kreci. Wyglądało na to, że ma straszną ochotę wdrzeć się do środka i kogoś uratować. Od czasu, gdy dachy budynków pokryto niepalnym polimerem, straż ogniowa miała niewiele pracy. Aby spowodować skuteczny pożar, potrzeba było długotrwałych zabiegów. Indianie odwalili kawał dobrej roboty.

- Znalazłem martwą kobietę. Dom twierdził, że nikogo więcej tam nie ma.

Jednakże Kreci rozpoczęła przygotowania do poszukiwań. Właśnie zebrała swą grupę, kiedy coś - prawdopodobnie alkohol - eksplodowało, kierując na nas ognisty podmuch i rozpalone odłamki.

- Gdy próbuję odgadnąć, co spowodowało tu Indian, czuję się, jakbym gwizdał mając w ustach zamarznąłą ślinę. Cholera, spójrzcie tylko - odezwał się Frank Oldfrunon, patrząc jak ostatnia dachówka spada między płomienie. - Okoliczni mieszkańcy nie puszczą tego płazem. Załadają krwi.

- Myślę, że chodziło o prywatne porachunki pomiędzy Bentlym a Missisipijczykami.

Oldfrunon popatrzył na mnie przez chwilę.

- Tak uważasz?

- Wiecie, że muszę zareagować - wtrącił Nestor Marquez.- Istnieje prawo. Odpowiadam za obywateli Jackson.

Tłum rósł z minuty na minutę. Marquez pchnął dwóch swoich zastępców, aby cofnęli napierających ludzi, a trzeciego do ochrony zgromadzonych dzieł sztuki przed fruującymi iskrami. Ściany budynku zapadły się, wzniciając okazały fajerwerk w miejscu, gdzie leżało

ciało Verny. Zerknąłem na zapis. Wszystko zostało zanotowane i pozostało około piętnastu procent wolnej pamięci.

- Jestem za stary do wojaczki - powiedział Oldfrunon. - Mam nadzieję, że unikniemy większego konfliktu.

- Nikt nic chce wojny - dobiegł zza naszych pleców nowy głos, dźwięczny, głęboki i mocny niczym kolumbijska kawa. - Kler jest do twojej dyspozycji, Frank. Z radością uczynimy wszystko, co w naszej mocy.

Bez odwracania głowy wiedziałem, że to Gerabaldo Corazon, Naczelny Kapłan miejscowego zgromadzenia Kleru. Nieraz dziwiło mnie jak zręcznie potrafił wykorzystać każdą sytuację, aby umocnić swe wpływy. Ślepo podążający drogą ku zbawieniu, nic dostrzegał, czym naprawdę była wiara, którą wyznawał - zręczne i przekonujące połączenie starych teorii bolszewizmu z naukami Chrystusa. Chociaż osobiście, miałem dla niego pewną dozę sympatii; gdyby nie stanowcza postawa Kleru, wyrażona kilka lat temu, prawdopodobnie nadal podążałbym szlakiem Drogi Mlecznej.

Kler nie był oficjalnie częścią Westpaku, chociaż większość obywateli, w tym jedna trzecia mieszkańców Jackson, należała do Komórek. Oldfrunon nie pokładał żadnych ambicji politycznych w tej części populacji.

- Jeśli wasza działalność pogorszy obecną sytuację, osobiście kopnę cię w świątobliwy tyłek - rzucił, nawet się nie odwracając.

Nienawiść pomiędzy Corazonem i Oldfrunonem trwała od dawna. Co prawda nic słyszałem o szczególnie złośliwych posunięciach obu antagonistów, ale znałem przyczyny wzajemnej nieufności. Frank Oldfrunon był urodzonym ekspansjonistą. Ziemia stanowiła dla niego uschnięty rdzeń potężnego drzewa. Jedynie konary, szeroko rozpostarte na inne światy, potrafiły utrzymać ludzkość przy życiu. A to wymagało podboju nowych terytoriów.

Z drugiej strony, w sercu każdego kapłana Kościoła Wyzwolenia i Wiecznej Sprawiedliwości były głęboko wyryte zasady kierowania uczuć (i gotówki) wiernych do centrum poprzez wyrobienie poczucia sprawiedliwości społecznej i duchowego pojednania (oczywiście pod przewodnictwem Kleru). Uważali, że duży błędem było opuszczenie Ziemi oraz jakiegokolwiek układu z Indianami.

- Pragnę jedynie pomóc - odparł łagodnie Corazon. - Pamiętaj Frank, że wielu obywateli Jackson należy do Kleru. Biedny Benlly był jednym z nich. Widziano, jak Indianie bili go i kopali. Zadano mu cios tomahawkiem.

Ton głosu mówiącego nie zmienił się.

- Nim go pochwycono, zdołał powalić jednego z napastników - dodał Corazon, zostawiwszy tę wiadomość na koniec dla podkreślenia efektu dramatycznego i wskazania groźnych konsekwencji.

- Co takiego? - spytałem. - Zabił Indianina?!

- Zdołał raz wystrzelić, nim wszystkich otoczono. Franz Wasal, jeden z naszych lektorów i właściciel pobliskiego warsztatu naprawy śmigaczy, widział całe zdarzenie.

- Muszę z nim porozmawiać - powiedział Nestor Marquez. - A potem sami wiecie, co powinienem uczynić.

- Niech to szlag - mruknął Oldfrunon. - Idę z tobą.

- Ja również - dodał Corazon. - Benlly należał do mej trzody.

Marquez popatrzył na nich przez chwilę. Jego umysł reagował dość wolno, a ikry posiadał tyle, co świeżo przyrządzone lofu. Miał jednak przecucie, że sprawa, z którą się zetknął, nie była jedynie prostym przypadkiem pogwałcenia prawa i porządku.

- No... dobrze - odparł w końcu.

- Oczywiście nie masz zamiaru wykluczyć obecności przedstawiciela prasy - wtrąciłem. - I tak dowiem się o wszystkim.

- Chryste Panie, kurwa mać - powiedział Marquez. - Zgoda.

Wezwał śmigacz i dziesięć minut później znaleźliśmy się w powietrzu. Wyłączyłem bank pamięci i postanowiłem resztę informacji po prostu zapisać na kartce. Większość lotu do Przeznaczenia spędziłem szukając pióra i przeklinając program, dzięki któremu stałem się tak powolny i leniwy. Nim dotarliśmy na miejsce, zapadła ciemna i mroźna noc - bez nadziei na jakąkolwiek światłość, ponieważ Kandela nie posiadała księżyca. Wspomniałem kurtkę oddaną Jancy. Ogrzewana bielizna kiepsko zastępowała ciepły przyodziewek.

Przeznaczenie jest jedną z najdziwniejszych kombinacji epoki kamiennej i ery podboju kosmosu. Przypomina mi kryształ kwarcu wbity w oprawę z granitu. Kulturę Indian datowano na lata tysiąc dwóchsetne, kiedy to Missisipijczycy po raz pierwszy wykonali sztukę z prędkością nadświetlną i en masse wyruszyli między gwiazdy. Za to nigdy nie wahali się przejąć najlepszych pomysłów lub wyrobów Westpaku.

Podłogę wigwamów zastępowało klepisko, lecz na zewnątrz wisiały talerze anten Westpaku. W każdym zakątku wioski stał totem rzeźbiony sylwetki węży i wszechobecne dłonie z okiem pośrodku, świadczące o boskości kasty królów-kapłanów. Jednocześnie totem wykorzystywano jako latarnię uliczną, zawieszając na jego szczycie pięćsetwatową świetlówkę.

Obok wielu wigwamów pracowali ludzie otuleni przed zimnem w znoszone skóry oraz futra. W świetle lamp zaczepionych nad wejściem do domostwa lub przenośnych latarni mężczyźni i kobiety kłecili kanu, używając szlifierek na baterie, naprawiali wigwamy przy pomocy młotka i gwoździ, nosili wodę w plastikowych kanistrach. Nasza obecność nie wzbudzała zainteresowania, żadne z nich nawet nie podniosło głowy. Nie mogli tego uczynić, gdyż byli śmierzdelami oraz niewolnikami.

Jeśli chciałbyś, to sobie lepiej wyobrazić, pomyśl o starożytnym Egipcie, w którym Żydzi wykonywaliby całą robotę, a faraonowie oglądaliby w swych domach telewizję.

- Burzuje i wyzyskiwacze - mruzczał Corazon. - Historia im za to odpłaci.

Cóż można było odpowiedzieć? Kler odrzucał możliwość kompromisu z narodem opartym na niewolnictwie, a wśród Indian z Missisipi kasta niewolników istniała od czasu, gdy wszyscy opuścili Ziemię, na długo przedtem nim Kolumb dotarł do Ameryki. Kapłani uważali, że Westpak w swej bezgranicznej mądrości, powinien oswobodzić uciskanych, wytepić panów, a niedobitki zamknąć w rezerwach, aby nigdy więcej nie hańbili ludzkiej godności. Czyż kiedyś nie rozumowano podobnie? Psiakrew, nic cierpię niewolnictwa niemal w tym stopniu co Corazon.

Chciałbyś pewnie wiedzieć!, dlaczego Thomas Fali wściekał się, gdy jego chocalaca, Radz, stał się niewolnikiem czyjśgo umysłu, a jednocześnie tolerował niewolnictwo wśród Indian? Wszystko, co mogę powiedzieć, to tyle, że Thomas nie miał niewolników. A program rytmu jest bardziej skomplikowany niż program jakiegokolwiek komputera. Więzień stale odczuwa swój los, nigdy nie śpi, nigdy nie odpoczywa. W każdej sekundzie swej bolesnej egzystencji pracuje dla gospodarza. Takiego losu Indianie nie życzyliby nawet śmierzdelowi, choć wierz mi, że oni gardzą śmierzdelami.

- Przypuszczam, że Bently znajduje się w Domu Zebrań - powiedziałem.

Miałem rację. U wejścia stali uzbrojeni w aihnl wartownicy. Włócznie, wystające z miotaczy, nie wyglądały na atrapy. W rzeczywistości były kierowanymi pociskami, zaadaptowanymi przez Indian do własnych celów podczas pierwszych kontaktów z cywilizacją Westpaku.

Z otworu w dachu Domu wydobywało się pasmo dymu - nieomylny znak trwającego Zgromadzenia. Mój ulubiony gwiazdozbiór, Wedoweeta, migotał co chwila zakrywany dymem. Zastanowiło mnie, czy gwiazda zwana Kojotem jest rodzaju męskiego, żeńskiego, czy może należy do obu naraz? Kilka lat temu Thomas zadał mi podobne pytanie, ale nigdy nie podał odpowiedzi. Czy samce kochają walkę bardziej niż samice? Właśnie walka oczekiwała

nas w najbliższej przyszłości i podejrzewałem, że dym przesłaniający gwiazdy wróżył śmierć niejednego człowieka.

Z wnętrza Domu Zebrań dobiegł przeraźliwy wrzask.

Nawoływania Indian, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, zmieszały się z poprzednim krzykiem, jak gdyby zgromadzeni żywołowo zareagowali na mękę torturowanej ofiary lub potępiali jej zachowanie wobec odczuwanego bólu.

- Szeryfie, zrób pan coś - powiedział Corazon.

Marquez wyprostował ramiona i ruszył naprzód. Stojący u drzwi strażnicy zdwoili czujność. Gdy Marquez znalazł się kilka metrów od nich, nadstawili włócznie, kierując pociski w brzuch nadchodzącego. Nawet ktoś taki jak Marquez błyskawicznie zrozumiał, że nie pora na żarty. Cofnął się.

- Mam półautomat w śmigaczu - powiedział, jakby informował nas o czymś, co nie miało najmniejszego związku z obecną sytuacją.

- Nie bierz tego pod uwagę - odparł Oldfrunon.

- Tam ginie człowiek! - wtrącił Corazon. - Myślałem, że wasza cudowna technologia zna sposoby, aby temu zapobiec.

- Pole głuszące. Używano go na Ziemi do tłumienia zamieszek - powiedział Marquez.

- No więc?

- Nie mam ani jednego.

Kolejny krzyk i kolejny pomruk widzów.

- Panowie wybaczą - powiedziałem i ruszyłem w stronę wartowników.

Nadstawili włócznie. Wezwałem z banku pamięci podręczny słownik, który miałem wprowadzony do programu na wypadek kłopotów językowych, choć muszę przyznać, że całkiem nieźle władałem narzeczem luza. Był to głównie język handlowy, ale zamieszkujący setkę pobliskich światów Indianie używali go podczas rozmów, kłótni, a nawet - gdy nie mogli się porozumieć - do wznoszenia okrzyków wojennych. Przyszło mi na myśl, że może to niedoskonałość luza była powodem niektórych konfliktów pomiędzy Missisipińczykami. W każdym bądź razie narzecze pozwoliłoby mi na rozmowę z wartownikami.

- Znasz mnie - powiedziałem do tego, którego rozpoznałem. Nazywał się Lalay Potter i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że był w kanu Thomasa podczas ataku na galerię. - Jestem przyjacielem Thomasa Wędrowca. Pozwól mi przejść.

Naradzili się przez chwilę ze swoim towarzyszem, po czym skinął na mnie. Pozostali natychmiast zablokowali wejście za moimi plecami, aby uniemożliwić podobny manewr pozostałym członkom grupy. Lalay wszedł ze mną. Znalazłem się w niewielkiej alkwie,

odgradzonej od głównej hali grubą skórzaną zasłoną. Przez szpary wpadał żółty blask płonącego ogniska. Otwór prowadzący na zewnątrz nie posiadał drzwi, mimo to w alkwie było gorąco. Wewnątrz Domu Zebrań musiał panować straszliwy upał.

- Przyprowadzę Thomasa - powiedział Lalay i zniknął za zasłoną.

- To ja - mruknąłem, gdy Thomas odsunął skórę i wszedł do alkwie. - Przyszedłem w odwiedziny.

Thomas był rozebrany do pasa. Nosił skórzane nogawice i mokasyny. Włosy miał zlepione potem, a jakaś ciemna maź spływała mu po twarzy pomiędzy tatuażami i ściekała po brodzie. Piers pokrywały mu krwawe linie i łuki, podkreślone delikatnym wzorem z tuszu. To był nowy tatuaż.

- Nieczęsto wyruszamy na wojnę - powiedział Wędrowiec. - Wszyscy chcą wyglądać jak najdostojniej.

- Stąd te krzyki.

- Boli.

Miałem wrażenie, jakby Thomas wypełniał swą postacią całą alkwę i zużywał całe powietrze. Oddychałem z trudem. Po chwili pojąłem, że dusił mnie dym przenikający z wnętrza Domu Zebrań.

- Co się tam pali?

- Nie ma angielskiej nazwy. Sipsi. Pozwala wejrzeć w przyszłość.

- Uhm.

Thomas spojrzał poza mnie, w głąb ciemności.

- Marquez. Politycy?

- Oldfrunon przyszedł, aby zapobiec wojnie. Corazon - aby rozpętać własną.

- Jak się czuje Jancy?

Zanim odpowiedziałem, uważnie przyjrzałem się przyjacielowi. Nawet na wpół odurzony miał w sobie szczególny magnetyzm, połączenie tajemniczości ze zgryźliwym cynizmem, jak gdyby pył i kurz ze światów, które odwiedził, osiadł na nim warstwa po warstwie, wypełniając pory skóry doświadczeniem tak zasobnym w mądrość i etykę, jak gęsty był wzór tatuażu zdobiący większą część jego ciała. Jednak brudny szlam z powierzchni planet i pył zagarnięty z przestrzeni międzygwiazdowej przeniknął głębiej, wdzierając się do duszy niczym liszaj i przekształcając istotę ludzką - azaż człowieka pomiędzy ludźmi, a także męża między mężczyznami - w inną formę istnienia, w długą i niewyartykułowaną wypowiedź wszechświata. Cóż można powiedzieć takiemu stworzeniu? Co znaczy być jego przyjacielem?

Jednocześnie był to po prostu Thomas Fali, który niezrozumiałą dla mnie miłością kochał pewną dziewczynę. Dziewczynę, którą prawdopodobnie ja także kochałem. Nie miałem pojęcia, czy kiedykolwiek spał z nią, czy tego w ogóle pragnął. Jedyne, co wiedziałem, to że w swoim towarzystwie obaj czuliśmy się swobodnie i że nie musiałem uważać na słowa lub czyny. Thomas miał chyba podobne odczucia, gdyż ujawnił mi swą największą tajemnicę i największą słabość - istotę związku z Jancy Calhoun. Dyl przekonany, że go nie zdradzę; że nawet gdy przestaniemy się zgadzać, nic wykorzystam naszej przyjaźni jako oręża.

- Jancy - powiedziałem - potrzebuje rytmu.

- Wiem - odparł Thomas. - Wejdz.

Dom Zebrań był ogromny nawet według kryteriów pierwszych osadników. Wewnątrz miał około dziewięćdziesięciu metrów długości, czterdziestu szerokości, a dach umieszczono na wysokości trzech pięter. W każdym narożniku płonęło ognisko, zaś na środku pomieszczenia rozpalono olbrzymi stos, wciąż podsycany przez pięcioro ludzi - mężczyzn i kobiet - dorzucających gałęzie i coś podobnego do żwiru; prawdopodobnie sipsi. Indianie używali tego miejsca jako areny igrzysk oraz podczas spotkań z Synami Słońca, to znaczy członkami warstwy panującej, którzy do majestatu głów państwa dodawali godność sędziów. Raz w roku, gdy Wędrowiec powracał z niebios, niosąc wieści o wszystkich rozproszonych klanach, plemię zbierało się, aby jeść, pić i słuchać. Niewolnicy, śmierziele, Szlachetnie Urodzeni oraz Synowie Słońca siadali pospołu. Sam kilkakrotnie uczestniczyłem w takiej uroczystości. Lecz to, co teraz działo się w Domu, nie miało nic wspólnego z tradycyjnym Zgromadzeniem.

Dla Gerabalda Corazona byłby to zapewne wizerunek piekła - gdyby w nic wierzył. Większość kapłanów Kleru traktowała historię i ewolucję człowieka jako zrab Wiary. Istnienie Doga pomijano na ogół milczeniem. Indianie wierzyli w bóstwa opiekuńcze. Jednemu z nich od czasu do czasu składali ofiary z ludzi.

W tej chwili siedzieli w luźnych rzędach wokół ogniska. Tuż przed paleniskiem odbywała się ceremonia zdobienia ciał tatuażem, uświetniania nieco pijanym tańcem oczekujących na swoją kolej wojowników. Prawdopodobnie zbierali siły, aby mężniej wytrzymać ból. Wrzeszczeli, jakby tatuowano ich jednocześnie ze szczęśliwcem właśnie poddawany tej operacji. Opodal ustawiono dużą pryczę, na której złożono coś przypominającego ciało owinięte w poplamiony na czerwono i purpurowo zwój materiału. Był to zabity dzisiaj Indianin. Włączyłem bank pamięci. Obraz pomieszczenia był niezwykle kontrastowy, iskrzący się wspaniałą czerwienią i szkarłatem, to znów zgaszony głęboką, aksamitną czernią. Powinieneś to zobaczyć na własne oczy. Oczywiście mogłem wszystko zarejestrować w banku pamięci, ale nie miałem możliwości, aby utrwalić całą gamę światła i cieni wypełniających pomiesz-

czeniu. Ponieważ jednak żaden ze znanych mi dziennikarzy nie miał okazji choćby rzucić okiem na podobną ceremonię lub na tak zachowujących się Indian, więc ja robiłem, co mogłem.

Wokoło, na podłodze, najgęściej w pobliżu ścian odpoczywali wytatuowani wojownicy. Niektórzy nadal się poruszali, inni leżeli lub siedzieli obejmując kobiety lub siebie nawzajem. Duszące skwarem powietrze pachniało słodkawą wonią psipsi.

- Patrzyłem w przyszłość - powiedział Thomas, prowadząc mnie w odległy koniec hali. - Każdą drogę, jaką widziałem, pożerała fala nieszczęść i kłopotów, niczym postępujące zakażenie.

Miałem uczucie, że schodzę ze schodów, których każdy stopień ma inną wysokość. Potknąłem się, odzyskałem równowagę, kaszlnąłem. Purpurowoczerwona mgiełka uleciała mi z gardła i zawisała przed twarzą w formie niewielkich obłoków. Poruszała się, tworząc niejasne obrazy i twarze. Cholerne sipsi - pomyślałem. Nic chciałem znać swej przyszłości. Zamachałem rękami i przyśpieszyłem kroku.

Thomas roześmiał się, jak gdyby znał moje myśli. A może wypowiedziałem je na głos? Tego nic pamiętałem, a bank pamięci rejestrował wszystkie wydarzenia równie subiektywnie, co mój umysł.

- Nawet bogowie mają złe dni - odezwał się Thomas i wskazał ciało leżące na pryczy.
- Wielkie Słońce padł pod ogniem z automatu.

- Twój wuj?

- Tak. Pragnął samodzielnie pokierować atakiem. Zginął jak wojownik. Żałuję, że tak mało go znałem.

- Kto go zastępuje?

- Nikt, póki Siostra Słońca, Metay-andi, nie wybierze następcy spośród swych dzieci.

Wybór sukcesji po zmarłym należał do kobiet. Jeśli Wielkie Słońce zginąłby za życia swej matki, to wyznaczyłaby następcę spośród jego braci. Ponieważ zaś matka nie żyła, najstarsza siostra musiała wskazać na któregoś ze swych synów.

- Co zobaczyłeś w przyszłości?

Spojrzałem poważnie na Thomasa i położyłem mu rękę na ramieniu, choć wiedziałem, że to nie ukoi jego bólu. Nie zatrzymał się.

- Nic, czego bym pragnął - odparł. - Chcę jedynie odzyskać Radza i dać rytm Jancy. Opowiedzieć, co wiem, i odjechać.

- Miałeś użyć swych przywilejów, aby schwytać złoczyńcę.

- Nie miałem wyboru. Do cholery, dla ciebie zrobiłbym to samo. Moi przyjaciele nie mogą być niewolnikami. Muszę o nich walczyć, nawet jeśli to oznacza zaprzedenie własnej duszy.

Podszedł do rzuconego w kąt worka ziemniaków. Wór poruszył się i wówczas rozpoznałem, że to Bently. Spojrzał na Thomasa, jęknął i usiadł. Ręce miał związane na plecach.

- Wstań - powiedział Thomas.

Bently podniósł się.

- O kurwa - mruknąłem.

Jeniec był unieruchomiony. Nogi przebito mu pomiędzy kostką i ścięgmem Achillesa, a przez otwory przeciągnięto rzemień, mocując końce do przeciwległych ścian pomieszczenia. Gdyby Bently postąpił choć jeden krok, okaleczyłby się do końca życia.

- Przypomniałeś sobie coś jeszcze? - spytał Thomas, patrząc w twarz drżącego mężczyzny.

- Nie mogłem tego wydobyć z Verny - odparł Bently i załkał. - Mówiłem ci już. Mówiłem. Spytaj Sheda i Hanka.

- Shed i Hank nic mi nie powiedzą. W galerii znalazłem mlaskacz - powiedział Thomas - i przyrząd do transmisji. Komu sprzedałeś mój rytm?

- Shed i Hank... - wyjęczał Bently. Otworzył szeroko oczy. Domyśliłem się, że mówi o dwóch opryskach, którzy towarzyszyli mu podczas napadu. Bezskutecznie próbował opanować grymas, który przybierał kształt chorobliwego uśmiechu.

- Oni... nie żyją, prawda?

Thomas pchnął go. Bently zachwiał się i krzyknął z bólu, gdy pęta szarpnęły za ścięgna. Thomas odszedł. Bezradnie wzruszyłem ramionami i poczłapałem w ślad za przyjacielem.

- Nie uważasz tego za niepotrzebne okrucieństwo? - spytałem.

- Nie było mnie, gdy go wzięto.

- Co z Shedem i Hankiem?

- Leżą związani w moim wigwamie. Zaufany przyjaciel czuwa, aby nie zdarzył im się wypadek... taki jak Bently'emu. Nic nie wiedzą.

- Wszystko wymyka się z rąk - mruknąłem.

Thomas nie odpowiedział. Dym stał się niesamowicie gęsty i po chwili nie mogłem dostrzec sylwetki Wędrowca. Otaczające mnie kłęby zawisły ciężkimi chmurami. Próbowałem przyspieszyć, lecz czułem, że miękną mi nogi, tak jak w pokoju Jancy. Upadłem; nie znalazłem oparcia. Indianie otoczyli mnie, widziałem ich błyszczące potem ciała. Sięgnąłem

w górę, lecz moje dłonie zsunęły się z mokrych, śniadych ramion. Poczułem sieć tatuaży, które nie były rusunkami lecz cięciami w głąb ciała. Miałem wrażenie, jakbym dotykał starej monety, której krawędzie były zbyt obłe, a powierzchnia zbyt starta, aby utrzymać ją choćby paznokciami. Leciałem w dół, spadałem bez końca w gęstej mgle. Zwolniłem, lecz nadal opadałem. Wśród czerwonych oparów dostrzegłem twarz kobiety. Sara. Milczała, lecz uśmiechała się lekko, tak jak w dniu naszego rozstania. Miała zmierzwiłone włosy i usta czerwone jak sipsi. Nosiły ślad mych pocałunków. Weszła do komory transmisyjnej. Po chwili wyszła; jej kopia oczekiwała na wysyłkę. Moja kolej. Jeszcze chwila, jeszcze jeden oddech i znów będziemy razem. Jak para kochanków, którzy na chwilę zatrzymali się nad stawem, zachwyceni swym odbiciem, po czym odeszli, aby żyć dalej własnym życiem. Tymczasem odbicia rozmazały się, rozciągnęły niczym poruszone zdjęcie lub plama ropy na wodzie. Jedno zniknęło. Drugie na końcu swej drogi odkryło, że jest jedynie matową, ciemną cieczą, pozbawioną tego, co najdroższe. Było mi smutno.

Z mgły wynurzyła się podłoga łagodnie podążająca na me spotkanie. Silne ramię pochwyciło mnie w pól. Czerwona zawieszina opadła.

- Oglądałeś swą przyszłość? - spytał Thomas.

Stanąłem o własnych siłach i pokręciłem głową.

- Nie. Przeszłość - odparłem. - Którędy do wyjścia?

4.

Mój bank pamięci wypełnił się i przerwał zapis w połowie tajemnej, świętej ceremonii, co i tak nic miało znaczenia, gdyż zamierzałem wkrótce pogwałcić poprawkę do konstytucji Westpaku dotyczącą prasy i opublikować bez zezwolenia zdjęcie przedstawiające Zew Chocalaca.

Opowiem ci o tym.

Wyszliśmy przez tylne drzwi, podczas gdy Oldfrunon, Marquez i Corazon nadal oczekiwali przed głównym wejściem do Domu Zebrań, gryząc palce ze zdenerwowania i strojąc groźne miny. Wigwam Thomasa przez większą część roku stał pusty. Dopiero na czas Zgromadzenia mieszkańcy wioski naprawiali go i wypełniali prowiantem. Tuż obok domu postawiono niewielką komórkę, w której znajdowało się nieco wydobytej z ziemi gliny. Tam też skierowaliśmy swe kroki.

Thomas usiadł na grubo ciosanej ławce stojącej pośrodku chatki i gniotąc w palcach grudkę gliny mamrotał coś w tak dziwnej odmianie luza, że nic nie rozumiałem. Dyla już prawie północ, więc mróz ścisnął coraz mocniej (zbliżał się do wspomianej przeze mnie

granicy lodowacznia sików). Przystąpiłem kilka razy i próbowałem zebrać całą odwagę potrzebną do wyjścia na zewnątrz między kłującą powiewy wichru. Musiałem opróżnić pęcherz, a gdybym zwlekał jeszcze przez chwilę, mogłoby to okazać się niemożliwe. Wyszedłem. Opuściłem górną część kałesonów tylko na tyle, aby 94 załatwić potrzebne i zastanowiwszy się nad możliwością odmrożeń. opryskałem moczem ziemię pełną cennej gliny.

W jakiś dziwny sposób ta glina umożliwiała egzystencję chocalaca, a tylko dzięki chocalaca Wędrowcy mogli samotnie przemierzać przestrzeń kosmosu. Istniała tu zależność podobna tej, jaka łączyła dowódców gwiazdolotów z olbrzymimi komputerami podczas podróży w prawdziwym świecie. Utrata chocalaca w trakcie lotu oznaczała śmierć, podobnie jak usterka komputera mogła zepchnąć gwiazdolot w otchłań kosmosu, aby dryfował bezwładnie, pomału wyczerpując zapasy powietrza przeznaczonego dla załogi.

Wszystkie światy zaludnione przez Indian posiadały zapasy gliny - inaczej Wędrowcy nie mogliby podróżować. Prawda, Indianie mogli żeglować bez pomocy chocalaca, pracując parami - wówczas jeden z nich zawodził rytualną pieśń o istnieniu łódki i jej pasażerów, a drugi z pomocą siły umysłu nadawał kierunek i prędkość lotu. Jednak nawet dwuosobowe *kanu* potrzebowało miesięcy na przebycie tej samej odległości, jaką gwiazdolot pokonywał w ciągu kilku tygodni, a Wędrowiec i jego chocalaca - w ciągu jednego dnia. Niektórzy ludzie powiadali, że chocalaca zawsze kryły się w glinie, bo same były gliną. Inni twierdzili, że stworzenia zostały powołane do życia przez Indian. Nawet Wędrowcy nic znali prawdy.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Zgodnie z badaniami naukowców Westpaku, Wędrowiec stanowił najszybciej poruszający się element wszechświata, a jego umiejętności były uzależnione od gliny. Jak dotąd, nikt nie poznał sposobu jej działania, lecz spekulacja jej ceną stanowiła najbardziej emocjonującą część giełdy. Obecna wartość gliny uniemożliwiała jej powszechne stosowanie w transporcie i informatyce. Lecz było coś (o czym nie mówiono, ale zawsze brano pod uwagę), co powodowało stały popyt - rytm.

Osadnicy byli bardzo niezadowoleni z faktu, że jedynie Indianie są prawowitymi właścicielami złóż gliny. Dawno temu, podczas pierwszego spotkania, nic miało to żadnego znaczenia. Łączyły nas więzy przyjaźni, Westpak niemal pogodził się z losem tych rdzennych Amerykanów, którzy niegdyś pozostali na Ziemi, czy też mówiąc dokładniej, nie zostali zaproszeni do udziału w Wielkiej Wyprawie. Kultura Zachodu rozwijała się przez trzynaście stuleci, tworząc równe prawa dla wszystkich - i ogólną tolerancję. Trudno było pogodzić się z akceptacją niewolnictwa. Wówczas dowiedzieliśmy się o glinie.

Kandelę odkryto we właściwym miejscu i czasie; odległa o pięćset lat świetlnych od Ziemi, stanowiła najbliższy znany rezerwuar gliny. Była też pierwszą planetą, na której osad-

nicy spotkali Indian z Missisipi - nic znanych dotąd emigrantów ze starego Układu Słonecznego. Oczywiście, to wszystko działo się sto lat temu - albo, w zależności od punktu widzenia - pięćset lat po mojej śmierci.

Thomas i ja zamieszkiwaliśmy ten skrawek czasu, zagłębieni w jego fragment, ustawieni w punkcie zetknięcia dwóch nieskończoności - przeszłości i przyszłości - dokładnie w terażniejszości, dokładnie i przewrotnie u wrót nieskończonego czasu w miejscu wymuszonej decyzji, grożącej ponurymi konsekwencjami. Ale czyż wszyscy nie jesteśmy w podobnej sytuacji?

Skończyłem sikać i wróciłem do chaty. Wnętrze pomieszczenia skąpane było w błękitnej poświacie. Powietrze wypełniał zapach dawno nie zmienianej bielizny. Zwykle śmierdziałem podobnie po trzy - lub czterodniowej wędrówce. Thomas skończył urabiać glinę i wepchnął ją do kieszeni, tej samej, z której onegdaj Verna wyciągnęła podobny kawałek. Nastąpił nagły błysk i wokół nas zawisła sylwetka Radża.

Ponownie poczułem tę inność, obcość wewnątrz mojego umysłu. Wielki niepokój, potrzebę włączęgi, chęć dotknięcia nowych przedmiotów, odnalezienia nowych światów. Głód. Głód niedźwiedzia. Głód wiedzy.

- Chocłaca żywią się doświadczeniem? - spytałem.

Poczułem wewnątrz głowy niski, miękki pomruk. Radż. Skądś wiedziałem, że śmieje się ze mnie, choć bez złośliwości.

- To bardziej złożony proces - odparł Thomas. - Nawet ja go nie rozumiem.

Usłyszałem jego głos wewnątrz mojego umysłu, lecz pytanie skierowane było do kogoś innego.

- Jak się czujesz, przyjacielu?

W odpowiedzi Radż jęknął głucho. Zabrzmiało to jak skarga.

- Dziękuję, że wróciłeś do mnie, po tym, co się stało.

Radż nie odpowiedział, jak gdyby uważał przeprosiny za zbędne. Po chwili donośny ryk wypełnił chatę i poczułem dawny gniew wewnątrz mojego umysłu; nienawiść do czegoś srebrzystoczarne, niemal przezroczystego, pustego - lecz inteligentnego. Płomień Radża przygasł i poczułem, że stworzenie wycofuje się z mego umysłu jak olbrzymia fala powracająca do morza.

- Co wzbudza jego gniew? - spytałem.

- Nie wiem - odparł Thomas. - Czymkolwiek to jest, powoduje jego nienawiść.

Zacisnął dłoń na ukrytej w kieszeni grudce gliny i zamknął oczy, jak gdyby obiecywał, że nigdy więcej jej nie utraci.

- Musimy teraz odzyskać skradzionego ci ducha.

Wysliśmy w ciemność nocy, aby raz jeszcze spróbować zmusić Kema Bently'ego do odpowiedzi na pytanie, co stało się z kopią Radża.

W połowie drogi do Domu Zebrań z mroku wyłonił się Nestor Marquez. Trzymał w ręku rewolwer. Za nim stali Oldfrunon i Corazon. Oldfrunon zrobił nieszczęśliwą minę, Corazon wyglądał na zadowolonego.

- Thomasie Fali, aresztuję cię pod zarzutem uprowadzenia i usiłowania morderstwa - powiedział Marquez. - Nie próbuj sztuczek ze swoim zwierzakiem, bo będę strzelał.

Thomas uśmiechnął się.

- Chyba nie powiedziałem ci, że zrezygnowałem z obywatelstwa Westpaku - mruknął.

- Przykro mi - wtrącił Oldfrunon - właśnie sprawdziłem akta. Nigdy nie dopełniłeś formalności.

- Więc mieszaniec jest jedynym człowiekiem z Przeznaczenia, którego możecie aresztować - cierpko zauważył Thomas. - Jestem do dyspozycji.

Podeszliśmy do śmigacza. Marquez nic próbował ukryć naszego odejścia przed przechodzącymi obok niewolnikami. Wraz z Thomasem usiadł w głębi pojazdu. Wciąż trzymał Wędrowca na muszce, pozostawiając kierowanie komputerowi. Zająłem miejsce naprzeciw Thomasa.

- Źle to wygląda - powiedziałem.

- Wiedzą, gdzie jestem - odparł Thomas. - O świcie, Metay-andi dokona wyboru.

- O czym, u diabła, on mówi? - zainteresował się Marquez.

- Twój więzień - odpowiedziałem - jest najbardziej prawdopodobnym kandydatem do przejścia sukcesji po Wielkim Słońcu. Stary wódz zginął dziś po południu.

Upłynęła chwila, zanim obecni pojęli wagę tej informacji. Wódz-Kapłan Przeznaczenia nic był jedynie przywódcą, lecz także bratem gwiazd. A Indianie oddawali boską cześć gwiazdom.

- Cholera - rzekł Frank Oldfrunon. - Niech to szlag!

Corazon wiercił się z przodu, trąkając jak wiewiórka. Swoim zachowaniem w pełni potwierdzał stosunek Kleru do Indian.

- Szeryfie, myślę że do rana powinien pan zgromadzić wielu ludzi - mówił Corazon. - Uzbrojonych. Trzeba powstrzymać rzeź, zapobiec masakrze.

- Lub jej dokonać samemu - wtrącił Oldfrunon.

Wszyscy umilkli. Śmigacz bezgłośnie zdążył jedwabistą drogą w stronę aresztu w Jackson. Marącz odetchnął z ulgą, gdy zamknął okratowane drzwi za Thomasem. Nic oba-

wiał się już, że upuści broń, zobaczywszy niespodziewanie sylwetkę Radża. Chociaż moim zdaniem, cliocalaca potrafiłby spalić mózg przeciwnika nic ujawniając swej obecności. Najwyraźniej Thomas tymczasowo zrezygnował z oporu.

Pozwolono mi pozostać w pomieszczeniu przylegającym do celi. Nestor Marquez nie zwracał na mnie uwagi. Zajęty był powiadamianiem innych mieszkańców o spodziewanym ataku Indian.

Wziąłem do ręki ostatnie wydanie „Chłodnym Okiem” leżące na biurku Marqueza i przekartkowałem stronicę. Sama wata i agencyjne ciekawostki. Skład zakończono o czternaściej. Ponieważ rano niemal nic nie przekazałem, mój algorytm zebrał informacje od miejscowych komputerów oraz z Terytorialnej Agencji Łączności. Jednak wiadomości agencyjne siłą rzeczy nadchodziły z kilkutygodniowym opóźnieniem, a komputery nie potrafiły porządnie sklecić dwóch zdań logicznych od początku do końca, nawet jeśli wiedziały coś interesującego.

Nie znaczy to, że nie miałem zaufania do algorytmu - sam go zbudowałem, używając importowanych programów wykreowanych z doświadczeń i działalności najlepszych dziennikarzy, począwszy od połowy dwudziestego pierwszego wieku. Chodziło po prostu o to, że żadna maszynka (ani istota ludzka) nie była zdolna napisać czegoś ciekawszego w oparciu o niekompletne dane. A najlepszą bazą danych na całej Kandelii byłem w tym momencie ja. Jeśli dożyję jutra, następny numer gazety będzie wystrzałowy.

Usiadłem obok drzwi celi i oczekiwałem na ponowny wschód czerwonego słońca. Thomas nie mówił wiele. Czasem drzemał, lecz kilkakrotnie budził się ze zdławionym krzykiem. Około trzeciej powrócił Marquez. Dyla z nim Jancy.

Radż na chwilę objawił swą obecność. Błękitna poświata wypełniła półmrok pomieszczenia.

- Jest tu - z przejściem powiedziała Jancy.

Marquez wyciągnął broń.

- Zabierz to stąd, bo inaczej...

Radż błysnął niczym kartka papieru ogarnięta płomieniem, po czym zmatowiał i zniknął. Marquez opuścił rewolwer, podejrzliwie patrząc na Thomasa.

- Dlaczego musi być wojna? Radż wrócił... - powiedziała Jancy. Zastanowiła się przez chwilę. - Och.

- Jak się czujesz? - spytałem.

- Spędziłam w twoim domu długi, biały okres czasu. Półem poczułam zapach rzeczy, którymi częstował mnie dom. Niektóre kolory wróciły.

Wyglądała na świeżą i wypoczętą. Najwyraźniej mój poczciwy domowy algorytm zrobił wszystko, aby mogła zapomnieć o wcześniejszych przeżyciach.

Thomas wstał i spojrzał poprzez kraty. Wyciągnął rękę.

- Jancy.

Uniosła dłoń. Chwycił ją za nadgarstek. Emanująca dziwną mocą błękitna iskra błysnęła w powietrzu. Radź był razem z nimi. Przez chwilę miałem wrażenie, że patrzę na portret kochającej się rodziny. Twarz Jancy jaśniała pełnią radości. Czuję się nieco zażenowany. Nie mogłem oczekiwać, że kiedykolwiek osiągnę ten stopień zespolenia mentalnego oraz emocjonalnego, jakie za sprawą Radża było udziałem Thomasa i Jancy. Dlaczego czasami wątpiłem w ich uczucie? Dzięki Radżowi stanowili jedną osobę. Odwróciłem się i odszedłem. Nikt nie zauważył mojego wyjścia. Marquez burczał coś pod nosem. Minąłem jego biurko i przeszedłem przez próg. Owionął mnie zimny wiatr jesiennej nocy.

Gdy mój wzrok - przyzwyczaił się do ciemności, spostrzegłem niezwykle delikatną poświatę, padającą z okna wychodzącego na skwer, na którym stałem. Z celi Thomasa. Zaprağnałem wrócić, znów spojrzeć na niego i na Jancy. Lecz po co? Thomas już mnie nie potrzebował. Udowodniłem swą lojalność, opiekując się dziewczyną. Boże, nieomal wykorzystałem jej słabość. Też mi przyjaźń. Jancy miała teraz Thomasa i Radża, dzięki którym mogła balansować pomiędzy światem prawdziwym i stabilnością świata realnego.

Pamiętam mój pierwszy lot transmisyjny. Myślałem wówczas: jak to cudownie podróżować do gwiazd, a co najważniejsze móc zobaczyć przyszłość własnymi oczami. Możliwe, że dziecko odczuwa coś podobnego w chwili porodu, popychane na zewnątrz niemą, natarczywą ciekawością. W końcu odkrywa, że aby żyć musi... żyć i dawać życie. Zrozumiałem wówczas, że albo postąpię tak samo, albo zdążę jedynie rzucić okiem wkoło i umrę. Ponieważ jedynie coś robiąc, możesz widzieć, wiedzieć, cieszyć się nadchodzącym dniem, odnaleźć sposób na to, aby pozostać żywą i myślącą istotą. Czy ja bytem noworodkiem wyjętym z tona dwudziestego pierwszego wieku? Czy można oderwać człowieka od jego kultury, od wszystkich wartości, które uczyniły go tym, czym jest dzisiaj, i nadal nazywać go człowiekiem? Do czego dziś się przyczyniłem? Do niczego. Może jestem podobny do zrogowacialej skóry zmywanej z ciała i odpadającej bez końca w postaci obojętnych, bezużytecznych skrawków? Wybryk nauki.

Poczułem płatki śniegu na nosie, ustach; uderzały mnie w twarz niczym ćmy.

Umysł potrafi płatać figle, a ludzie posiadają niezwykle algorytm zaklęty w szarą masę wypełniającą przestrzeń pomiędzy uszami. Usłyszałem głos. Jej głos.

- Cicho, Will. Cicho.

Przez chwilę nieomal uwierzyłem. Lecz to mógł być jedynie odgłos wiatru buszującego po pustych ulicach miasta. Przytupnałem dla rozgrzewki i wróciłem do budynku. Stałem przed biurkiem Marqueza.

- Pozwól jej tu pozostać przez resztę nocy. Będę ich obserwował.

Marquez skrzywił się, jakby chciał odmówić. Popatrzy! na mnie przez chwilę i wzruszył ramionami.

- Więc obserwuj - mruknął.

Podszedłem do drzwi celi. Jancy i Thomas wyglądali tak samo jak kilka chwil temu.

- Jancy, co zrobisz rano, kiedy Indianie przyjdą po Thomasa?

- Może pójść z Radżem i ze mną - odezwał się Thomas, wciąż patrząc na dziewczynę.

- Chcesz tego, Jancy? To może być droga bez powrotu.

- Chcę zostać z Radżem - powiedziała.

- Z Radżem?

Zanim zadałem to pytanie, już wiedziałem. Zrozumiałem. To nie na powrót Thomasa - lub raczej, nie przede wszystkim na powrót Thomasa - dziewczyna oczekiwała każdego roku. Thomas był jej przyjacielem w tym samym stopniu, co ja. Radż był czymś więcej. Kochankiem?

Jancy odwróciła się ode mnie. Wciąż jaśniała, lecz na jej twarzy dostrzegłem wyraz determinacji.

- Chcę zostać z moim ojcem - powiedziała. - Zawsze jest tak daleko. Chcę z nim trochę pobyc. Poznać go bliżej.

Przez długą chwilę stałem w milczeniu. Więc to nie Radż był więzią łączącą Jancy i Thomasa. To Thomas przekazywał dziewczynie miłość jej ojca. Z wzajemnością.

Odezwałem się w końcu.

- Jesteś na wpół chocalaca?

- Tak.

Przyjacielsko uśmiechnęła się do mnie. Nie wiedziałem, ile ten uśmiech może wynagrodzić, ale poczułem się lepiej. Wciąż niezgrabny, wolno myślący, ale będący częścią ich świata.

- Wyjdzie z tego kiedyś ogromny artykuł, prawda Will?

- Niczym wieloryb.

Maggie Dillard, matka Jancy, nie była zadowolona z pożycia z Calhounem. Prawdopodobnie jej stary przyjaciel, ojciec Thomasa, Jeremia Fali miał swój udział w przedstawieniu jej chocalaca. Co za historia! Pierwszy fizyczny stosunek człowieka z obcą istotą. Dzień,

w którym opiszę to w gazecie i zdradzę przyjaciół, będzie dniem mej samobójczej śmierci. Musiałem zebrać myśli. Choccalaca żyły wśród Indian od stuleci, niemal od czasów prehistorycznych, więc do podobnych zbliżeń dochodziło już wcześniej. Ale idę o zakład, że nie wśród osadników. Na wpół obca istota, nie zrozumiana przez bliskich, walcząca o miejsce w społeczeństwie. Miałem tematów na kilka wydań.

- Jeśli pozostaniesz wśród Indian, zniknie problem pobytu w szpitalu - powiedziałem - ale wówczas Georgia zagarnie działkę z gliną.

- Karaluch Georgii zdobędzie glinę.

- Tak. A może Wrenny znajdzie w sobie więcej odwagi niż wszyscy przypuszczają?

- Będę szczęśliwa, mogąc opuścić ten dom - powiedziała miękko Jancy. - Nawet gdy mam rytm, jest mi tam źle.

- Obecność Radza pomaga ci zapanować nad myślami? - spytałem.

- Tak. Ojciec i Thomas zostawiają mi rytm na czas swojej nieobecności.

- Ale trwała kopia Radza byłaby lepsza, szczególnie teraz, gdy jest możliwa do wykonania.

- Tak - odparł Thomas. - Wiesz już wszystko. Nie drukuj tego, Will.

To był cios poniżej pasa.

- Czy dlatego nigdy nie powiedziałeś mi prawdy?

Thomas spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Zawsze ci ufałem. To Radz nie chciał aby wtajemniczać kogokolwiek.

- Powiedział ci o tym?

- Niezupełnie. Czułem to... aż do teraz. Wszystko uległo odwróceniu i prawdopodobnie uznał, że czas aby ktoś jeszcze dowiedział się o wszystkim.

- Kopia została przekazana komuś na Kandelu, zanim schwytaleś Bently'cego - zauważyłem.

- Chodzi o coś poważniejszego niż napad w lesie - rzekł Thomas. - Radz chce, abyś stanął po naszej stronie.

- Albo jest po prostu starym niedźwiedziem, który zmienił swe dotychczasowe poglądy. Nie masz pewności, o czym on myśli... lub nawet, czy myśli.

Odpowiedź Thomasa była rytualną formułą Wędrowców. Powiedział ją w narzeczu htza, a żadne tłumaczenie nic jest w stanie oddać jej złożoności - „Clwcalaca myślą wielokroć”.

Tuż przed świtem zadzwoniłem do redakcji i przekazałem tyle informacji, ile mogłem przez łącza telefoniczne. Aparat szeryfa wyposażony był jedynie w standardowy czytnik

optyczny. Opróżnienie około połowy zawartości banku pamięci zajęło mi dwadzieścia minut. Algorytm gazety zaniemówił. Był przytłoczony ilością danych, z których miał rozpocząć generowanie artykułów. W mojej głowie pozostało jedynie poranne spotkanie z Bentleyem, co i tak nie nadawało się do wykorzystania.

Na zewnątrz zbierali się osadnicy. Słyszałem pomruk wielu głosów i, co gorsza, po-brzękiwanie broni. Gdy niebo przejaśniało, zrozumiałem, że Marquez, mimo swych ograni-czeń, działał wyjątkowo sprawnie. Nic dziwnego, że rokrocznie utrzymywał się przez akla-mację na stanowisku szeryfa. Niemal połowa mieszkańców Jackson zgromadziła się na pobliskich ulicach i skwerach. Rozmawiano przyciszonymi głosami, podawano sobie kubki z gorącą kawą; para unosiła się w mroźnym powietrzu poranka. Sylwetki żywych ludzi miesza-ły się z rozsianymi po okolicy widmowymi posągami ich przodków. I, tak jak ich przodko-wie, ludzie ci szykowali się na spotkanie ze szczepem Indian. Było zimno, a Jancy wciąż miała moją kurtkę. Przekręciłem do oporu gałkę ogrzewania kalessonów.

Nigdy nie miałem pojęcia, dlaczego Indianie z Kandelii modlili się do słońca. Nawet w południe, przypominało bardziej zaczerwieniony pryszczyk, niż wybuch jądrowy. Nie można było bezkarnie patrzeć w jego tarczę, ale udawało się to z o wiele lepszym skutkiem niż w przypadku rozżarzonego blaskiem ziemskiego Słońca, a po zaciśnięciu powiek rzadko poja-wiały się świetliste koła. Niekiedy podczas zachodu wszyscy wlepiali wzrok w znużoną wędrowną gwiazdę i donośne westchnienie kwitowało jej zniknięcie, jak gdyby z ulgą witano koniec cierpień rozdeptanego chrabąszcza.

Lecz słońce dzień po dniu pojawiała się znowu. Tak jak dzisiaj. Ponownie włączyłem zapis banku pamięci.

Nadciągnęli Indianie, płynąc po nieruchomym niebie. Nawet Sara wstrzymała oddech. Na rynku miasta, na cokole najwyższego pomnika ku czci pionierów, stał Frank Oldfrunon. Wszedł na pozieleniałą stopę odlanego z brązu posągu Stephena Calhouna, pierwszego osad-nika Wcslpaku, który spotkał Indian. Gdy zaczął mówić, pojąłem, że to on nakazał Sarze uspokojenie wiatru, aby uzyskać lepszą słyszalność wśród zgromadzonych.

- Nie powinniśmy robić nic, czego moglibyśmy potem żałować - mówił. - Najpierw wysłuchajmy, z czym przychodzą.

- Tak jak oni wysłuchali Kema Dently'ego - ktoś krzyknął, lecz postawa Franka Old-frunona (i dyskretne stłumienie głosu oponenta przez Sarę) zapobiegły dalszym protestom. Nikt się nic poruszył.

Indianie byli coraz bliżej.

Nie wznosili okrzyków wojennych. Ciasno okrążyli rynek, a jedno kanu zniżyło lot, zmierzając w kierunku Oldfrunona. W łódce siedział Lalay Potter i jeszcze jeden wojownik. Potter dźwignął się ciężko i przerzucił przez burtę ciało Kema Benlly'ego. Mężczyzna uderzył o kamienną płytę. Żył. Próbował się podnieść, lecz zabrakło mu sił, usiadł więc, szlochając z cicha.

- Oddajcie mi Thomasa Falla - powiedział Lalay. Wszyscy go słyszeli. - Oddajcie nam Wielkie Słońce.

Gerbaldo Corazon przedarł się przez tłum i wspinał na cokół, aby zbadać Bently'ego.

Oldfrunon odprężył się nieco. Stary, jowialny burmistrz rozprostował ramiona, niczym źdźbło trawy przebijające nadtopioną pokrywę lodu.

- Możemy to uczynić - powiedział nieco ceremonialnie - gdyż zwróciliście obywatela Jackson. Nestorze, przyprowadź Falla.

Nadszedł Thomas, dumnie wyprostowany krocząc przed Marąuczem. Szeryf bez niczyjej sugestii pozwolił Jancy pozostać u boku Wędrowca. Uznałem za swój obowiązek oddanie głosu na Marąeza, jeżeli stanie do kolejnych wyborów. Jancy ubrana była w moją czerwoną kurtkę, która w czerwonym słońcu zadawała się emanować światłem. Lecz to nie był jedynie blask wschodu. Pomiędzy Thomasem i Jancy czułem obecność Radza, widziałem delikatne migotanie, które ktoś inny mógłby uznać za refleksy słonecznych promieni i czułem woń ozonu, której nie sposób było pomylić z jakimkolwiek innym zapachem.

Marquez był uzbrojony, lecz pozostawił rewolwer w kaburze. Poszedłem za nim. Czułem zmęczenie po tyłu wędrowkach i nieprzespanej nocy. Poranny chłód powodował ból w nogach i nieco kulałem. Indianie donośnym okrzykiem powitali nadchodzącego Thomasa.

Thomas i Jancy powoli wspinali się po schodach cokołu. Słońce powędrowało wyżej i głęboką czerwienią oświetliło twarz Stephena Calhouna. Corazon powstał z klęczek.

- Ten człowiek został okaleczony - powiedział chłodnym, oskarżycielskim tonem.

Sara poniosła jego głos poprzez ulice. Poczulem jej wahanie, nagłą próbę stłumienia echa. Zrozumiałem, że ktoś musi nią manipulować. Miała umysł zwierzęcia - pełen sprytu, lecz pozbawiony inteligencji, oparty na emocjach. Tak mówił jeden z techników, po tym jak rozpoznałem Sarę wśród zimowego wichru podczas pierwszego roku pobytu na Kandeli.

„Przypuszczaliśmy, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli nic poznasz prawdy”, usłyszałem. „Ogólnie mówiąc, próbowaliśmy uratować właściwą część jej umysłu. Udało się zachować nawet podstawowe funkcje gramatyczne. Nadal jest skomplikowaną formą, znakomitą do wypełniania wielu zadań. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, a zarząd miasta uznał, że zdołaliśmy

ocalić przynajmniej część osobowości najodważniejszej pionierki lotów transmisyjnych”. Historia to doceni i tak dalej.

Dobrze, że na wietrze nie można przylepić tabliczki z głośnikiem.

Więc to nie wahanie Sary odczułem przed chwilą, nie ona próbowała stłumić głos Corazona. Ostatniej nocy wchłonąłem zbyt dużą dawkę sipsi i wyobraźnia płatała mi figle.

- Ktoś powinien za to zapłacić - powiedział Corazon, starannie oddzielając każdy wyraz. Zabrzmiało to jak umówione hasło.

Nagle Sara zniknęła. Powrócił szurzy wiatr - całym stadem - i próbował rozerwać szyki kanu; wionął przenikliwym chłodem w plecy Indian. Łódki zawirowały, podczas gdy wiosłarze czynili rozpaczliwe wysiłki, aby utrzymać się w powietrzu. Jedno z kemu wymknęło się spod kontroli załogi i opadło o jakieś piętnaście metrów. Osadnicy z okrzykiem unieśli lufy strzelb i rewolwerów. Indianie, wiosłując gwałtownie, powstrzymali upadek łódki i wyrównali kurs. Lecz nie mieli szans, aby zbyt długo pozostać w powietrzu.

W ogólnym zamieszaniu usłyszałem szept. To była Jancy, stojąca w połowie stopni wiodących na cokół.

- Nie.

Gerbaldo Corazon wystawił do wiatru zaczerwioną twarz, na której malował się wyraz szaleńczej zuchwałości. Siedzący za nim Bently chichotał jak karłowaty demon. Thomas pobiegł na szczyt schodów. Marquez począł wyciągać rewolwer, lecz uspokoiłem go ciosem łokcia w tył głowy. Podtrzymałem upadające ciało i delikatnie położyłem na ziemi. Nikt nie zauważył tego, co zrobiłem; wszyscy patrzyli w górę, obserwując szamotaninę Indian. Czułem, że w moim łokciu zagnieździło się stado szerszeni. Marquez miał bardzo twarłą czaszkę. Pewnie więcej szkody wyrządziłem sobie niż jemu.

Thomas dopadł Corazona.

- Odwołaj to - nieomal wypluł słowa w twarz kapłana. W głosie Thomasa pobrzmiwała władcza nuta, cień mocy niedźwiedziego ducha. Nic potrafiłbym odmówić jego żądaniu.

Lecz Corazon po prostu spojrzał na niego z pobłażliwym uśmiechem.

Bently szarpnął się w stronę Thomasa. Na jego twarzy malowała się nienawiść tak wielka, jakiej nigdy dotąd nie widziałem u ludzkiej istoty.

Lecz był tylko człowiekiem - złożonym z krwi, kości... i ścięgien. Okaleczone kostki odmówiły posłuszeństwa, więc z okrzykiem bólu i wściekłości

103 rozciągnął się u stóp Wędrowca. Nic było dane mu długo pozostać w tej pozycji.

Olbrzymia, niemal przezroczysta tupa mignęła w powietrzu, kierując się w stronę Bently'ego. Nad głową Thomasa zajaśniał błękitnym płomieniem niedźwiedzi pysk Radża. Błysk

zmieszał się z rykiem. Widmowa łapa miała w sobie dość materii, aby pochwycić Bently'ego i cisnąć go w tył, niczym wór rozgniecionych owoców. Nie wiedziałem, że cliocalaca potrafi zrobić coś podobnego. Bently upadł ciężko za plecami Corazona.

- Szlag niech trafi twoją świątobliwą dupę! - warknął Frank Oldfrunon. - Wiedziałem, że coś knujesz, ale nie przypuszczałem, że pragniesz otwartej wojny. Nigdy nie powinienem zezwolić ci na przywóz tego wyposażenia. Algorytm kształcący! W takim razie ja jestem królem Hiszpanii!

- Odwołaj wiatr - powtórzył Thomas. Radź trzeszczał i ryczał. - Przestań krzywdzić mój naród.

Pogardliwy spokój Corazona z wolna ustępował miejsca zdenerwowaniu. Thomas sięgnął w jego stronę. Wiedziałem, co dzieje się w głowic kapłana, ponieważ do pewnego stopnia odczuwałem to samo. Corazon pojął, że płomień Radza może spalić jego umysł w krótkim, oślepiającym błysku.

- Jeżeli mnie dotkniesz - powiedział Corazon - twój diabelski zwierzak zostanie przekazany do każdego świata, na którym działają wysłannicy Kleru. Będzie nam służył, aż straci swą moc i pocznie błagać o szybką śmierć.

Bently pisnął, niczym kurczę schwyte przez lisa i bolejące nad własną głupotą.

- Powiedziałeś mi, skurwysynu! Po wszystkim, co przeszedłem!

Corazon nie zwracał na niego uwagi.

- Zgadza się, Kem - zabrałem głos. - Wykorzystał cię jak durnia.

- Przeciągnęli rzemień przez moje kostki! - darł się Bently.

- Historia doceni twoją ofiarę - sucho wtrącił Corazon.

- A teraz wszyscy słyszeli, co zrobiłeś - powiedziałem głośno, najbardziej szyderczym tonem, na jaki potrafiłem się zdobyć.

Bently zaniemówił z wrażenia. Przez chwilę leżał, ciężko wdychając powietrze.

- Ty im powiedziałeś - warknął w stronę kapłana. - Wszystko stracone.

- Zapłaciłem ci - odparł Corazon. - Zamilcz.

To przepełniło gorączkę Bently'ego.

- Zapłaciłeś?! - wrzasnął. - Wierzyłem ci! Wierzyłem w twoją bezcenną Historię! Wykorzystałem kobietę! Drugą zabiłem! Ty chuju!

- Stul pysk! - krzyknął Corazon.

Ponownie usłyszałem szept Jancy.

- Przestańcie. Proszę, przestańcie.

Bently nie próbował powstać, aby zbliżyć się do Corazona. Przetoczył ciało i chwyciwszy kapłana, pociągnął go w dół. Zaczęli turlać się po schodach, minęli Jancy. Corazon chwycił kostkę Bently'ego. Rozległ się wrzask.

Musiałem odskoczyć, aby uniknąć zderzenia. Splątane ciała zatrzymały się dwa metry poniżej cokołu. Bently usiłował obezwładnić Corazona. Kapłan oburącz chwycił go za kostkę i silnie wykręcił. Bently wyprężył się z bólu, a Corazon odepchnął go i odskoczył. Chciałem pobiec za nim, lecz odrętwiałe od nocnych wędrówek nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Za plecami usłyszałem narastający grzmot, obok mnie mignęła łapa Radża. Lecz albo odległość była zbyt duża, albo niedźwiedź obawiał się skrzywdzić któregoś z widzów i chybił. Corazon zniknął w tłumie, ścigany snopem iskier z Radżowej łapy. Poczułem strach. Radż był zbyt zajęty, aby utrzymać stabilność umysłu Jancy. Ogarnęło mnie przerażenie. Może Jancy potrzebowała natychmiastowej pomocy? Może Radż tego nie zauważył? Nawet chocalaca nie są wszechwiedzące.

Wróciłem pod cokół. Poczułem, że coś we mnie mięknie. Spojrzałem w górę. Stephen Calhoun rozpływał się z wolna na tle nieba, lecz zmiany w wyglądzie posągu były zbyt nikłe, aby dostrzegł je ktoś z tłumu. Znow się zaczęło, pomyślałem. Tym razem nic miałem gdzie zabrać Jancy. Nic było ucieczki.

Szczurzy wiatr dmuchnął z nową siłą.

Niektórzy z Indian opanowali rozszalałe kemu i próbowali wyładować. Nie potrafili jednak ominąć biegających wokół osadników.

Nikt nie zauważył, kto strzelił.

Piersь jednego z Indian wybuchnęła krwawą miazgą. Jego towarzysz nie potrafił samotnie zapanować nad Efektem. Kanu runęło, przygniatając kilku osadników. Miałem nadzieję, że był wśród nich ten, kto strzelał. Indianie nakładali pociski na groty włóczni. Osadnicy wycelowali broń w górę. Nad sobą, na wysokości trzydziestu metrów, dostrzegłem wojownika mierzącego wprost we mnie. Nie miałem czasu się ukryć. Od śmierci dzieliło mnie kilka chwil.

Wówczas cichy głos, łagodny niczym mgła zalegająca nad morskim brzegiem i pełen życia, jak wiejska zagroda z wieloma zwierzętami, wypełnił przestrzeń.

- Odejdź stąd, szczurze - powiedziała Sara. - Wynoś się.

Wiatr szarpnął się, niczym pies powstrzymany przez zbyt krótki łańcuch. Powiał lekko.

- Wypuszczę na ciebie kota - odezwała się Sara.

Szczur wycofał się szybko i uciekł w głąb zaułków Jackson, pozostawiwszy po sobie smród rozgrzebanego śmietnika.

- Nie będzie walki - przemówił ten sam głos, ale inaczej. Dobiał z miejsca, gdzie pod posągami swego pradziadka stała Jancy Calhoun.

- Wszystko zaczęło się przede mną, więc ja muszę to zakończyć.

Słuchali jej wszyscy. Mówiła Jancy, lecz wiatr szeptem powtarzał jej słowa pomiędzy budynkami i szybującymi łódkami. Gwizdał lekko w lufach karabinów. Głos Sary.

Jancy była smutna. Płakała, lecz nikt się nie roztapiał.

- Masz moc - powiedział zdumiony Thomas. - Jesteś silniejsza niż kiedykolwiek.

- Znalazłam rytm, na którym mogę się wesprzeć - odparła. - Był, a raczej była tu zawsze, ale nie wiedziałam, że jest tak silna. Chce być całością tak bardzo, jak ja pragnę się rozpaść.

- Jest tu - powiedziałem, a może tylko pomyślałem. - Wciąż żyje.

Padł strzał i kula zagłębiła się w lewym kolanie Stephena Calhouna. W kurtce, którą nosiła Jancy, widniała dziura. Dziewczyna spojrzała w dół. Twarz miała zaczerwienioną niczym szukająca pomsty bogini.

- Cholera - mruknął Bently. - Chybiłem.

Stał obok nieruchomej postaci szeryfa, trzymając w dłoni jego rewolwer.

- Chciałem zabić tego pierdolonego Indianina. Pragnę wojny.

Więc celował w Thomasa, nie w Jancy. Byłem zbyt daleko, aby go dopaść.

- Wiedziałeś, że czynisz źle, lecz mnie wykorzystałeś, by krzywdzić innych - powiedziała cicho Jancy. Sara poniosła jej głos do uszu Bently'ego.

Ponownie podniósł broń, opanował drżenie ręki. Starannie wycelował w Thomasa.

Stało się coś zabawnego. Koliście ostrzyżone włosy Bently'ego stanęły pionowo, tworząc coś w rodzaju kwiatu tulipana, tylko że na Kandelii nie rosną tulipany. Zapadła martwa cisza.

- Nie skrzywdzisz już nikogo - powiedziała Jancy-Sara.

W pierwszej chwili myślałem, że Bently wystrzelił, ale żadna broń nie mogła wydać takiego dźwięku. Huk był tak głośny, że niektórzy osadnicy instynktownie podnieśli ręce do uszu. Ci, którzy stali w pobliżu Bently'ego, padli nieprzytomni.

Bently nie żył.

Zginał, trafiony jaskrawą błyskawicą, która uderzyła z błękitnego nieba. Skręcone zwłoki leżały na ziemi.

- Nie będzie walki - powtórzyła Jancy, używając głosu Sary, aby dosłyszeli ją wszyscy. Osadnicy oraz Indianie opuścili broń.

- Rozejdźcie się do domów.

Kilkoro ludzi odeszło, inni uciekali w przerażeniu. Podniesiono pięć czy sześć ciał zgniecionych przez spadające kemu. Dwóch mężczyzn zajęło się zwłokami Bently'ego. Nikt nie tknął zabitych Indian. Jednak Jancy uznała, że osadnicy ruszają się zbyt wolno. Silny powiew wiatru przewrócił niektórych, a reszta rozbiegła się po ulicach, szeleszcząc niczym jesienne liście opadające na chodnik.

- Indianie także - powiedziała Jancy.

Thomas wypowiedział kilka słów w języku hiza i wskazał na pozostawione zwłoki dwóch wojowników oraz w kierunku wioski. Obiecał, że wkrótce powróci do Przeznaczenia. Na jego wezwanie Lalay obniżył lot swego kanu.

Thomas podszedł do Jancy i stanął za jej plecami. Dziewczyna patrzyła w głąb ulic. Mężczyzna objął ją za ramiona i wyszeptał kilka słów do ucha. Jancy zdawała się powracać do siebie. Zaczęła lekko dygotać.

Zbliżenie czy też symbioza, jaka przed chwilą łączyła Jancy z Sarą - zniknęła. Znałem Jancy... i znałem Sarę. W ramionach Thomasa znajdowała się tylko jedna z nich. Sara odeszła.

Frank Oldfrunon stanął tuż przy mnie.

- Dzisiaj udało się ich powstrzymać. Lecz wierz mi, Will, jeśli ta dziewczyna nie będzie potrafiła zapanować nad swoją magią, czekają nas nie lada trudności.

Milczałem przez chwilę, sprawdzając zapis banku pamięci. Wciąż zawierał rejestrację napadu Bently'ego na Thomasa i na mnie.

- Zamierzam opublikować artykuł, który zmieni sposób myślenia niektórych ludzi - odparłem. - I prawdopodobnie przysporzy mi masę kłopotów.

- Jeśli uda ci się powstrzymać wybuch wojny, zyskasz moje pełne poparcie - obiecał Oldfrunon. - Mam więcej przyjaciół, niż mógłbyś przypuszczać, sądząc po moim zachowaniu.

- Więc tak szybko, jak tylko potrafisz, opieczętuć majątek Kleru - odparłem. - I nie pozwól tego dotknąć nikomu, poza Thomasem.

- Załatwione.

Oldfrunon zszedł po schodach, zatrzymał się przy Nestorze Marquezie. Potrząsnął nim. Szeryf usiadł z jękiem.

- Tym razem ci wybaczam - powiedział Oldfrunon. - Lecz jeśli jeszcze raz zobaczę cię śpiącego na ulicach Jackson, będziesz musiał zrezygnować z funkcji szeryfa i ubiegać się o stanowisko burmistrza.

Oczywiście Marquez nie odpowiedział. Oldfrunon odprowadził go do biura. Wyglądał jak stary poszukiwacz złota prowadzący mulę.

Delikatna, błękitna poświata otoczyła Thomasa i Jancy. Radź powrócił w końcu do swej córki, kołyszając i uspokajając jej umysł.

- Myślę, że bez trudu odzyskamy rytm skradziony przez Kler - mruknąłem w stronę Thomasa. Skinął głową.

- Pójdę tam z Lalayem. Dołączysz do nas?

Zastanowiłem się przez chwilę. Może powinienem iść z nimi, aby zarejestrować koniec całej historii. Z drugiej strony, byłem przekonany, że Kler bez sprzeciwu zwróci kopię Radza i niezwłocznie ogłosi Gerabaldo Corazona renegatem, tak jak to miało miejsce w przypadku kapłana z Eolusa. Czasy, w których założyciele Kleru głosili herezje w dżunglach Trzeciego Świata, należały do przeszłości, a jego zwierzchnicy nauczyli się jak wyjść cało z każdej opresji.

Poza tym miałem dzisiaj zamiar pokazać pismakom z lokalnych gazet Westpaku, na czym polega prawdziwe dziennikarstwo.

- Zostanę - powiedziałem. - Muszę popracować nad artykułem.

Jancy zdjęła kurtkę i podała mi ją.

- Przepraszam, że jest dziurawa, ale nadal grzeje. Na pewno zmarześ, Will - powiedział.

Wraz z Thomasem wsiadła do kanu Lalaya.

Chciałem o coś zapytać; musiałem o coś zapytać, ale bałem się odpowiedzi. Skakałem po powierzchni czasu niczym płaski kamień uderzający o taflę jeziora. Widziałem przyszłość. Co odkryłem? Kim się stałem?

Tacy inteligentni ludzie, jak ty i ja, zagłębiamy w głąb własnej świadomości, oświetlają jej wnętrze i odkrywają, że jest głębsza niż przypuszczali. Ale czyż jednocześnie nie odkrywamy, że istnieje również dno, piaszczyste i suche, pozbawione wody... i duszy? Nic, oprócz popiołów - tak jak tego oczekiwaliśmy i co napełniało nas strachem. To, co uważaliśmy za myśli i uczucia, było jedynie przesypywaniem się i wirowaniem popiołów.

Witaj w przyszłości, pionierze transmisji.

- Jancy... - zacząłem. - Czy ona mnie pamięta?

Dziewczyna spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Nie zapomniała cię, Will. I nadal cię kocha.

Zacisnąłem pory kurtki, odgradzając ciało od chłodu. Zawsze uważałem za możliwe, że coś istnieje naprawdę poza słowami i pogodą. I to zmuszało mnie do działania. Do życia.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi choć przez chwilę usłyszeć jej głos - powiedziałem.

Jancy milczała. Widmo Radza otoczyło kanu i do moich uszu dobiegi delikatny szelest Efektu. Łódka wzbija się w błękit nieba i skierowała na wschód, w kierunku dóbr Kleru. Po chwili zniknęła. Patrzyłem w ślad za nią, czując, jak łagodne ciepło promieni poranka rozgrzewa mi twarz. „Wiara” nic była dobrym słowem na określenie naszego stosunku do słońca Kandeli. Chciałem to wyrazić mniej górnolotnie - najbardziej odpowiadała mi „przyjaźń”. Stałem więc u stóp posągów dawno zmarłych pionierów, skąpany w przyjaznych promieniach starego słońca i słuchałem szepeczącego wiatru.

Przełożył Witold Nowakowski